

**Dziś w numerze: • Dyskusja przedzjazdowa • Kompania „BUK” walczy
• Opowieści o sztuce budowania • Tranzystor • Zocha, bierz krowę!
• Wiersze • Felietony • Recenzje**

Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź, widzew

Do 2. XI 1968 r. 68



44 (574)
3. XI 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

odgłosy

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



Zaduszki

Dzień Zmarłych — Dzień najpowszechniej obchodzony przez żywych. Święto, które święcą wszyscy bez względu na światopogląd, narodowość, przekonania polityczne. W tym dniu pustoszeją domy i ulice, zapelniają się cmentarze, nad miastem zapala się żółta poświata. Płona na grobach świece i znicze, przed majestatem śmierci chylą się głowy żyjących.

Śmierć jest zjawiskiem zwykłym, nieodwracalnie związanym z życiem, zgodnym z prawami natury, jesteśmy z nią pogodzeni. Ale śmierć jest zjawiskiem naturalnym wtedy kiedy stanowi zakończenie życia, konieczność. Nasze pokolenia znają śmierć inną. Śmierć wbrew naturze i jej prawom. Śmierć, która zabiera dzieci matkom i ojców dzieciom. Śmierć, która jest rezultatem zbrodni dokonanej w wybuchu bomby, serii strzałów karabinowych, nierównej morderczej walce. Śmierć, po której mogiła bywa tylko symbolem, a nie miejscem wiecznego spoczynku.

Nasz kraj jest pełen takich mogił. Nie tylko na cmentarzach. Przy polnych drogach, pod murami domów, przy leśnych ścieżkach. I choć od tamtych lat minęło prawie ćwierć wieku, na tych grobach wciąż leżą świeże kwiaty, wciąż palą się świece. Przy tych grobach matki wciąż jednakowo gorzko oplakują swe dzieci, które dla nich pozostały wciąż jednakowo młode, a ich śmierć pozostaje wciąż nie zagojoną raną.

Medycyna walczy o przedłużenie życia człowieka, technika wymyśla coraz doskonalsze narzędzia skrócenia tego życia. Śmierć wbrew prawom natury, w interesie wielkiego kapitału, wciąż szaleje po świecie, zabierając najmłodszych. Co dzień padają strzały i bomby na Dalekim i Bliskim Wschodzie, wybuchają ogniska bratobójczej wojny w Afryce. Co dzień giną ludzie na wszystkich kontynentach. Umierają śmiercią niezasłużoną, nienaturalną, ludzie którzy jeszcze nie zaznali życia, przed którymi życie dopiero się otwierało. Cmentarze świata są coraz większe. Coraz jest więcej mogił-symboli.

Jak co roku i teraz zapalimy lampki na grobach naszych najbliższych. Tych, którzy przeżyli swoje życie i tych, którzy się życia nie doczekali, bo śmierć zabrała ich przedwcześnie. Szczególnie jaskrawo palą się znicze na mogiłach oznaczonych prostym brzoźowym krzyżem i żołnierską czapką. W tym dniu musimy pamiętać, że nasza jest również sprawą, by takich mogił było jak najmniej.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

Na drodze harmonijnego rozwoju

Człowiek o usposobieniu humanistycznym nie przepada na ogół za konferencjami, w których rejs wodzą specjaliści. Wydaje mu się, że ci właśnie specjaliści, chociażby i najwybitniejsi, mają zwyczaj zwięzania

świata do czynników ściśle wymiennych. Po prostu ważą nasze życie, mierzą je metrami wyprodukowanych tkanin, kilogramami czy tonami przędzy, zasypują liczbami, które charakteryzują rozwój,

wzrost, tempo przyrostu czy też innych wartości materialnych.

Humanista wydaje się, że specje atomizują świat, rozkładają go na swoje poletka. Tu półko budowlane, tam włókiennicze, obok poletko z transformatorami, i tak dalej, a całość, harmonijna całość naszego życia, do której dążyć powinniśmy — gdzieś znika. Humanista posiada naturalną potrzebę szukania dużej syntezy, z uznaniem odbiera widzę całości.

Piszę o tym dlatego, że XIII Łódzka Konferencja Partijna, na której radził delegaci przed V Zjazdem partii, mogła zadowolić nawet najbardziej marudnego humanistę. Fakty natury ekonomicznej, poparte — rzecz prosta —

olbrzymią ilością cyfr, wskaźników, ułożyły się w zwartą całość. My, którzyśmy się obradom przysłuchiwali, zyskaliśmy bardzo konkretny, spójny wewnętrznie obraz rozwoju miasta, a ponadto jego równie konkretną, dynamiczną wizję, wizerunek Łódzi przyszłości. Fakt ten wydaje mi się godny podkreślenia, a i komentarza godny.

W Polsce kapitalistycznej, jeżeli już niektóre miasta rozwijały się, a nie wegetowały na marginesie życia, to można było mówić niemal wyłącznie o rozwoju jednostronnym. Właśnie nasza Łódź stanowiła jaskrawy przykład tej jednostronności. Prymat zdecydowany jednego tylko przemysłu, włókienniczego oczywiście, brak przemysłów innych, brak rozmachu w bu-

downictwie mieszkaniowym i komunalnym, wyraźna stagnacja na odcinku życia intelektualnego. Miasto bez nauki i kultury. Polski robotnik występował w towarzystwie kapitalisty, jako głównego antagonisty politycznego, w towarzystwie policjanta z palką w ręku, handlarza, komornika, ale nie naukowca, pisarza, czy plastyka. Może to i nie nazbyt precyzyjne, ale — myślę — dość wymowna charakterystyka owej jednostronności.

Współczesne miasto, takie właśnie z naszej epoki socjalizmu, wiele powinno wypełniać funkcji, dać pracę i wykształcenie, zapewnić przyzwoity dach nad głową i stwarzać możliwości rozwoju kulturalnego, otaczać zdrowie ludzkie opieką i jak najlepiej zaopatrywać w artykuły

potrzebne dla życia dostatecznie. Otóż podczas XIII Konferencji Delegatów nie bez pewnego zdumienia, czy może być dzie lepiej powiedzieć — zaskoczenia, wytworzyłem sobie niejako automatycznie obraz rozwijającej się Łodzi. Niezależnie od referenta głównego, I sekretarza KE PZPR tow. Józefa Spychalskiego, również i inni mówcy przedkładali plany, oceny, propozycje całościowe, rozumowali szerokimi kategoriami całości, a nie oclupinkami. Słowem, wychodzili poza swoje specja

Dalszy ciąg
na str. 2



Wśród licznych wizyt, jakie na zasadach wzajemności polscy mężowie stanu składają w różnych krajach, wizyta przewodniczącego Rady Państwa, marszałka M. Spychalskiego w Iraku wymaga szczególnego podkreślenia. Nie tylko dlatego, że jest to pierwsza w dziejach Iraku wizyta na tak wysokim szczeblu, że Polska była jednym z pierwszych krajów, które przed 10 laty po obaleniu monarchii uznały republikę iracką i że od 1959 roku pomysłowo rozwija się polsko-iracka współpraca gospodarcza.

Znaczenie tej wizyty wynika nie tyle z przeszłości, co i czasu teraźniejszego. Choć bowiem dzielą nas od Iraku tysiące kilometrów zainteresowani jesteśmy zacieśnieniem więzów i dwustronnych stosunków w obliczu tego samego wroga — imperializmu. Dla nas ma on przede wszystkim zachodnoniemieckie oblicze, a dla krajów arabskich — izraelskie. Polska i Irak mają szeroką wspólną płaszczyznę porozumienia, kierując się bowiem w polityce międzynarodowej tymi samymi zasadami: współistnienia i nierówności.

Przed 16 miesiącami, gdy świat arabski przeżywał wielką tragedię, Polska stanęła zdecydowanie po stronie ofiar izraelskiej agresji. Dziś współdziała z nimi w przywróceniu pokoju na Bliskim Wschodzie oraz w likwidacji skutków tej agresji. Prezydent A.H. al-Bakr dał temu wyraz w słowach powitaniowych pod adresem marszałka Spychalskiego:

„Jestem szczęśliwy, że to przyjacielskie spotkanie daje mi okazję do przekazania Panu wyrazów naszego szczerego szacunku dla szlachetnego stanowiska, jakie zajął rząd PRL, popierając sprawiedliwą walkę naszego narodu o wolność i postęp oraz wobec dziejowych problemów arabskich...”

W czasie wizyty dwaj szefowie państw omówili stosunki bilateralne oraz wymienili poglądy na sprawy Europy, Wietnamu i Bliskiego Wschodu. Prezydent Republiki Arabskiej zaproszony został do złożenia wizyty w Polsce.

Jak aktualnie przedstawia się perspektywa rozwiązania problemu bliskowschodniego?

Źródła amerykańskie rozpowszechniają pogłoski jakoby Izrael uelastycznił swe stanowisko i że w tej sytuacji misja Jarringa ma szansę powodzenia. Prasa zachodnia pisze o „słabych oznakach przełamania impasu”, „pewnych symptomach postępu” itp.

Jest to jednak jeszcze jeden amerykański manewr. W tym bowiem czasie, kiedy lansuje się ów „optymizm” — izraelski minister wojny, Dajan oświadcza wprost, że po pierwsze: „należy aktywne przygotowywać się do nowej wojny”, a po drugie: „dokonać na terytoriach okupowanych... faktów dokonanych”.

Gdzie więc tutaj doszukiwać się elementów „uelastycznienia” stanowiska? Przecież faktem jest nie gotowość Izraela uregulowania problemu, lecz ciągłe prowokacje wobec krajów arabskich i odmowa wykonania uchwały Rady Bezpieczeństwa. A właśnie jej postanowienia są rozsądnym planem rozwiązania problemu. Potwierdza to wspólny komunikat polsko-iracki w słowach:

„Bez względu na warunki pokojowego rozwiązania konfliktu bliskowschodniego jest — w przekonaniu obu stron — całkowita likwidacja skutków agresji izraelskiej przeciwko sąsiadującym krajom arabskim, a przede wszystkim ewakuacja okupowanych terytoriów arabskich przez wojska Izraela”.

Kampania prasowa w USA n.t. rzekomego „nowego podejścia Izraela” jest więc zwykłym zabiegiem propagandowym, który ma na celu próbę przerzucenia odpowiedzialności za brak postępu na kraje arabskie, a poddyktowany został taktyką wybijania.

Nie inaczej jest przecież z problemem wietnamskim i wojną „cudownym” planem USA. Tyle reklamy, a wyniki dotychczas żadne. Nadal z zimnym wyrachowaniem trwa bombardowanie Wietnamu.

„Amerykanie — powiedział pod koniec ub. tygodnia Xuan Thuy, przewodniczący delegacji DRW w Paryżu — mówią o pokoju, lecz go w rzeczywistości nie pragną. Gdy FWN odnosi zwycięstwa — domagają się zaprzestania walki. Gdy jest zaciśnięcie — mówią, że ich przeciwnicy są osłabieni i nie mogą zwyciężyć”.

Wszystko oczywiście po to, aby de facto uchylać się od decydującego o powodzeniu politycznych rozwiązań kroku stworzyć jednak wrażenie poszukiwania dróg zakończenia konfliktu, co ma duże znaczenie przed prezydenckimi wyborami.

A wybory tuż, tuż. W „New York Times” ukazał się artykuł, który nawiązując do prezydenckich kandydatów stwierdza otwarcie: „nie bardzo jest między nimi wybierać”.

Rzeczywiście — w sprawach polityki międzynarodowej różnice między Humphreym, Nixonem i Wallace'em są minimalne. Z wyjątkiem chyba tylko rozbrojenia, gdzie stanowisko Humphreya jest nieco elastyczniejsze, cała ta „dobrowolna” trójka wysuwa takie same propozycje i używa tego samego języka.

W odniesieniu np. do Wietnamu różnice są mniejsze niż starają się wykazać sami kandydaci. Także w kwestii Bliskiego Wschodu wszyscy akcentują przede wszystkim potrzebę posiadania przez Izrael „odpowiedniej siły wojskowej”.

Humphrey i Nixon prawie identycznymi słowami podkreślają ponadto konieczność amerykańsko-irackich rozmów, czego nie kwestionuje Wallace.

Poważniejsze różnice ujawniają się w programach polityki wewnętrznej, ale ta, jak się wydaje, nie odegra tak wielkiej roli w wyborach, jak zewnętrzna.

Ma więc rację „New York Times”, kiedy pyta: w czym tu wybierać?

W. SŁAWSKI

Na drodze harmonijnego rozwoju

Dalszy ciąg ze str. 1

listyczne, czy administracyjne polećka.

Przemysł włókienniczy w Łodzi kureczy się nieco, natomiast inne przeciwnie, rozwijają się szybko. Podam dla przykładu, że włókno zmniejszyło swój udział w produkcji globalnej z 63,7 procenta w roku 1964 do 55,2 proc. w bieżącym, a równocześnie taki na przykład przemysł elektromaszynowy wzrósł odpowiednio z 16,7 procenta do 18,6. W roku 1975 włókno reprezentowane będzie w całości już tylko 49 proc., elektromaszyny osiągną 22 procent. Jest to przemysł przyszłości, nie wymaga wody, której nam brak. Z dawnych dobrych i mokrzych czasów pozostała nam tylko łódka w herbie.

Nowe przemysły wymagają nowych typów szkół i internatów, absolwenci zaś muszą gdzieś mieszkać. Oto klasyczny niemal wszechzwiązek poszczególnych elementów rozwoju miasta. Budownictwo mieszkaniowe staje się zresztą specjalnością Łodzi. W końcu niebagatelną do sprawy jeśli blisko 300 tysięcy ludzi mieszka już w domach nowych. A przecież pamiętam pierwsze lata po wojnie. My, studenci roczników pierwszych łódzkiej Alma Mater, maszerowaliśmy z kłofami na ramieniu w stronę Bałtu, przerażającej ongi dzielnicy nędzy, aby zburzyć resztki ruin, zasadzić trawę i lipy w parku nazywanym potocznie — parkiem śledzia. Drzewa wyrósł nam nad podziw, wyrósł wszędzie i nowe dzielnice. W latach 1971—75 otrzymamy jeszcze 150 tysięcy nowych izb mieszkalnych, z tego ponad 40 procent w wielowczech. Najwyższy czas, Łódź była dotąd niziutka, równiutka, monotonna, całe kwartały miasta iezróżnicowane, mało pomyslowe. Wiele się na ten temat mówiło, pisało, no i przyszły pierwsze rezultaty, mamy swoje drapacze chmur, zanosi się także na większe izby i wyższy standard.

Budownictwo wiąże się z siecią sklepów, te z handlem i usługami. Nie zawsze w tym

zakresie wiedziała prawica, co robi lewica, zdarzały się nam duże obszary nowo zabudowane bez sklepów, czy urządzeń kulturalnych. Otóż to widzenie kompleksowe, uwzględniające potrzebę związku jednej dziedziny życia z drugą, tak bardzo widoczne podczas XIII Konferencji sprawiło, że widzimy już nie osobno, ale razem. Mówimy: miejsce pracy, myślimy od razu o odpowiedniej szkole, czy instytucie naukowym odpowiedniego przemysłu. Mówimy: nowy dom i mamy równocześnie w pamięci — sklep, warsztat usługowy, bibliotekę, czy kinę. Ten sposób myślenia, bardzo zresztą gospodarskiego, dominował w dyskusji.

Dla pisarza, skromnego przedstawiciela środowisk twórczych, nie bez szczególnego znaczenia był fakt, że z każdym rokiem mówimy coraz więcej na tematy nauki, oświaty i kultury. Rokowania przed konferencją na ten temat były, jak zawsze, różne. Mamy zawsze w takich okazjach coś w rodzaju nieformalnej, ale sprawnej działającej gieldy, przewidujemy za każdym razem ile padnie głosów z naszego odcinka. Na ogół prognozyki bywały średnie, tym jednak razem przedstawiciele nauki i kultury doszli do pełnego głosu. Środowiska twórcze zyskały wysoką ocenę, istotnie, mamy pracowitych ludzi pióra, pedzła, sceny, poważnie zaangażowanych po stronie socjalizmu i partii, dzielnie walczących w najtrudniejszych momentach pięć politycznych tego roku.

Myślę, że w tym właśnie miejscu dobrze będzie zwrócić uwagę na drugą, niezmiennie ważną cechę łódzkiej Konferencji. Na czoło wysuwały się zdecydowanie problemy walki ideologicznej z rozmaitymi postaciami rewizjonizmu. Rewizjonizm nie jest jakąś kategorią stałą, czy jednolita, zmienia się, szuka sojuszników, atakuje z różnych stron, jest elastyczny, wdziera się na te pola, gdzie nasza czujność jakby słabnie.

Koncert przyjaźni

Szczególny to był koncert, inny jakiś, atmosfera uroczysta, a jednocześnie ciepła i serdeczna. Inaczej też wyglądała sala Teatru Wielkiego. Scena, w pierwszej części przemieniona w estradę, przybliżyła się do widowni dzięki nakryciu kanału orkiestrowego, bliżej widzów znalazła się orkiestra, soliści i aktywni. W pierwszej części m. in. arie z „Kniazia Igora” Borodina, „Toski” Pucciniego, „Strasznego Dworu” Moniuszki w wykonaniu solistów i zespołu Teatru Wielkiego, recytacje w wykonaniu artystów Teatru Powszechnego. Druga część ma nieco inny charakter. Arie, fragmenty baletowe z „Zemsty Nietope-

rza” Straussa i „Jeziora Labędziego” Czajkowskiego, a także scena i finał II aktu „Strasznego Dworu” — już w kostiumach i fragmentach dekoracji. Śpiewają, tańczą, grają soliści, chór, balet, orkiestra Teatru Wielkiego. Trudno by tu, z braku miejsca, wyliczyć wszystkie nazwiska, wszystkich artystów, którzy wystąpili w tym wieczorze, rezygnując z honorarium na rzecz walczącego Wietnamu.

Ten koncert, zorganizowany dużym wysiłkiem i nakładem pracy ze strony Teatru Wielkiego, stał się, chyba nawet nie zamierzenie manifestacją ze strony łodzian. Ma nifestacją przyjaźni i poparcia dla naszych przyjaciół na Dalekim Wschodzie. Często podkreśla się podobieństwo losów, więc jaką łączy Polskę z dalekim, walczącym Wietnamem, więc wypływa z tego zrozumienia, jakie w narodzie polskim wywołuje walka narodu o niepodległość, o samodzielną byt. To nie są czcze słowa. Polacy, którzy na przestrzeni wie-

Gotów jest użyć przeciw nam wyjątkowo obrzydliwych nacjonalizmów, jak syjonizm, ale równocześnie gotów jest zamieszać Pana Boga w swoje brudne interesy, nie uszanuje entuzjazmu młodzieży, wykorzystując trudność w gospodarstwie, aby lansować idee sprzeczne z duchem socjalistycznej ekonomiki, zaatakują katedry akademickie, będzie proponował bezideowe nowinki w miejsce marksistowskich kryteriów badawczych, nie ucieknie od inwektyw, ordynarnych inwektyw pod adresem naszej ludowej władzy.

Rewizjonizm został rozpoznany na każdym polu jego działalności. Rozpoznany przez wszystkich, którzy brali udział w łódzkiej dyskusji, a więc zarówno pracowników nauki i sztuki, jak i specjalistów gospodarczych, czy wreszcie robotników. Niepodzielna jest nasza partia i nasza ideologia, nie wolno jej dzielić pomiędzy województwa czy miasta, stąd ten niezwykle godny ton wypowiedzi, zatroskany o interesy socjalizmu w Polsce i na świecie, a nie tylko „w naszym zakładzie”, „w naszej uczelni” lub organizacji.

I tu już nie chodzi o nową, niedaleką, lecz przecież zamkniętą przeszłość. Godna, spokojna, dojrzała postawa polityczna łódzkiej klasy robotniczej, zdecydowanie partyjnych instancji sprawiły, że szybko opanowano sytuację, a proces oczyszczania szeregów i odpowiedzialnych stanowisk z ludzi wrogich przebiegł bez większych pomyłek. Chodzi raczej o wnioski na przyszłość. Nie zabrakło ich w referacie połączonym z wypowiedziami dyskusyjnymi. Z jednej strony proponowano śmielszą niż dotąd politykę kadrową, konieczność wysuwania ludzi nowych, młodych, na przekór rutynie i zasiedziałości. Człowiek, nie powinien przystać do fotela. Z drugiej strony niemal każdy wypowiadający się na tematy ideologiczne widział wyraźnie konieczność wzmocnienia pracy politycznej we wszystkich środowiskach i pokoleniach, zwłaszcza zaś wśród młodych. Padły głosy za poszerzeniem problematyki patriotycznej w wychowaniu młodzieży szkolnej i akademickiej, mówiono, zapewne w związku z wydarzeniami w Czechosłowacji, o potrzebie szerszego, głębszego wyjaśnienia idei współczesnego internacjonalizmu proletariackiego.

Marksizm — leninizm podlega, jak wszystko co na tym świecie żywe, prawom rozwoju, zyskuje nowe doświadczenia, rozstrzyga po nowemu zasady współpracy w międzynarodowym ruchu robotniczym. szuka coraz do nowych dróg prowadzących do utrwalenia pokoju na świecie, rozwiązuje nowe problemy ekonomiczne, dopracowuje się nowych uogólnień, słowem wzbogaca i rozwija swoje niejako klasyczne kanony. Jeśli więc rozwija się nieustannie, musi także rozwijać się, doskonalić nasza praca ideowo-wychowawcza.

Myślę, że nie tak nie podmiósł rangi XIII Łódzkiej Konferencji Partyjnej jak właśnie ta harmonijna jedność sprawy budownictwa socjalistycznego ze sprawami walki klasowej we współczesnym, podzielonym — nieestety — świecie.

I jeszcze jedno. Słowo — atmosfera — jest może nieco mało konkretne, trudne uchwytne, lecz tym razem słowo to wyraźnie miało znaczenie. W naszym typie ustroju najwyższą wartością jest człowiek, jego samopoczucie, chęć do pracy, jego uśmiech, skierowany w stronę otaczającego go świata. Dużo mówiono o stosunkach pomiędzy ludźmi na Łódzkiej Konferencji. Przecież to prawda, że jaśniepańska postawa nie należy u nas do absolutnej rzadkości, trafiają się ludzie, którzy walą się w pierś aż do krwi, ale to są cudze pierś. I takich nie brakuje, co to wszystkie grzechy znają znakomicie, wszystkie prócz swoich. Tacy dbają zażwyczaj, aby nazwiska krytykowanych były podawane do wiadomości opinii publicznej, wszystkie prócz własnego. Człowiek ofiarny, czynny społecznie, uczciwy w pracy chce żyć w warunkach sprawujących na każdym kroku i w każdej dziedzinie ludzkiej, socjalistyczny stosunek człowieka do człowieka. Ten właśnie stosunek podlega nieustannemu komentarzowi, jest powszechnie kontrolowany. I słusznie, gdyż właściwe stosunki pomiędzy ludźmi, równość wobec obowiązków, sprawiedliwość w ocenie, jednakowo obowiązujący wszystkich stosunek do krytyki — to tak że socjalizm.

WIESŁAW JAŻDZIŃSKI

od nowa musi odbudowywać swój kraj, lecz rany, regenerować wykrwawiony organizm, bo bilizować nieustannie siły do dalszej walki. Ale to duży wkład jednej łódzkiej placówki w kwo ty, które zbiera i przekazuje walczącemu Wietnamowi nasze społeczeństwo. To także cząstka tego co Wietnam otrzymuje od naszego narodu, a co jest cenniejsze chyba niż wszelkie dobra materialne: poparcia moralnego, pomocy, która jeśli nie niweluje to na pewno łagodzi poczucie osamotnienia, daje krzepiącą świadomość, że ma się przyjaciół, którzy sprzyjają i rozumieją, którzy mimo geograficznej odległości są po tej samej stronie barykady. Myślę, że między innymi dlatego ten mały naród nie da się pokonać.

T. WOJCIECHOWSKA

Dyskusja przed W ZIAZDEM

Czas wolny — społeczne bogactwo

Tradycyjnie zwykło się traktować czas wolny jako zjawisko wtórne, jako „produkt uboczny” pracy zawodowej. Takie stanowisko, będące wyrazem specyficznego wartościowania pracy i czasu, czasu poza pracą, wynika z oceny różnych faktów społecznych, które w historii społecznego rozwoju zajmowały różne miejsca w hierarchii indywidualnych i społecznych wartości. Zarzucając się wcześniej prymat pracy nad czasem wolnym przekształcił ten czas w przeciwnieństwo pracy, wprowadzając go zarazem do wypracowania i regeneracji sił.

W obecnych warunkach czas wolny staje się w coraz większym stopniu formą organizacji życia, która kształtuje określony model osobistego i grupowego postępowania, typowy dla danych warunków społeczno-ustrojowych, tradycji, wzorów kulturowych, środowiska społecznego, ekonomicznego i geograficznego. Ze względu na wysoki rangę społeczną, budzi też coraz szersze zainteresowanie naukowców i organizatorów życia społecznego zarówno w krajach socjalistycznych jak i kapitalistycznych. Jednakże różnorodność aspektów, które znamionują ten problem, sprawia, iż w różnych warunkach ustrojowych znajduje on odmienne interpretacje.

Jeśli zwrócić pod uwagę prace uczonych burżuazyjnych, to okazuje się, iż rozpatrując oni czas wolny jako przejawienie pracy, ucieleśnienie od pracy, jako wyraz konfliktu człowieka i techniki. Takie stanowisko wynika, rzecz jasna, z dążenia do wykazania, że źródłem dehumanizacji człowieka nie jest panujący w krajach kapitalistycznych sposób produkcji, lecz postęp techniki; wynika także z niedostrzeżenia faktu, że przezwyciężenie podstawowych sprzeczności ustroju kapitalistycznego nie może się dokonać poprzez ucieczkę od pracy w „krajne wolne” czasu, lecz w drodze zmiany stosunków produkcji. W systemie kapitalistycznym z każdym nowym krokiem w rozwoju techniki wzrasta się panowanie pracy nad człowiekiem.

W miarę pogłębiającej się specjalizacji, praca robotnika staje się tak ograniczona, że nie może zaspokoić jego elementarnych potrzeb intelektualnych i moralnych. Robotnik kapitalistyczny wywalczył co prawda 8-godzinny dzień, a w niektórych krajach 5-dniowy tydzień pracy, dysponuje więc znacznym czasem wolnym. Nie oznacza to jednak, iż zwiększają się przez to jego zainteresowania sztuką czy literaturą. On woli rozrywek. Wykazują to konkretne badania socjologiczne. Jak podano na kongresie w Ewian (Francja) w 1966 r. w budzie czasu dorosłego człowieka przypadają średnio: we Francji tylko 6 minut, w USA — 12 minut, natomiast w ZSRR 45 minut; na zajęcia kulturalne we Francji 1 godz. 45 minut, zaś w ZSRR ponad 3 godziny. Łatwo jednak zrozumieć taki stan rzeczy. Ludzie poszukują rozrywek, które nie pozwalają myśleć, odcinają od zwykłej nudy, uspokajają system nerwowy szarpany codziennymi kłopotami, różnymi emocjami itp. Szczególnie dużo czasu „kradnie” im telewizja, stanowiąca główną pozycję w wydatko-

waniu czasu wolnego. Obliczono np., że przeciętny Amerykanin spędza 35 godzin przy telewizorze, co równa się tygodniowej liczbie godzin pracy w niektórych gałęziach przemysłu. Widać frakuski spędza przy telewizorze nieco mniej, bo od 15 do 20 godzin tygodniowo.

W wielu krajach kapitalistycznych na czas wolny patrzy się jako na zło społeczne, utożsamiając ten czas z różnymi wykroczeniami, hazardem itp. Socjologowie kapitalistyczni nie znajdują oczywiście rozwiązania tej sprawy w kulturze masowej. Społeczeństwo kapitalistyczne obawia się porzucenia swobody w kształtowaniu sposobu spędzania wolnego czasu, a ze względu na czysto handlowy zalewa się go różnymi dobrami „wczasowymi”, łatwym w spożyciu, powodującymi, że rozrywka, niestety, nie nabiera cech twórczych.

Całkowicie odmienne perspektywy przed wykorzystaniem czasu wolnego otwierają się w ustroju socjalistycznym. Tutaj właśnie powstawała się warunki sprawa, że czas wolny nie stanowi niepokojącego zjawiska, a wręcz przeciwnie, stała się kategorią wysoce pożądaną. Warunki te powodują jednocześnie, że nie może być czasem fizycznego i intelektualnego lenistwa, czasem rozrywki pojmowanej przez ludzi myślowych kategorii społeczeństwa kapitalistycznego, ale powinien być wykorzystany z pożytkiem. A to inspiruje potrzebę podniesienia w naszym kraju jego rangi społecznej.

Właściwe pokierowanie wykorzystaniem czasu wolnego stanowi niewątpliwie kwestię o dużym znaczeniu społecznym, wymagającą wszelkich stronnów badań socjologicznych. Jak dotychczas, studia socjologiczne nad czasem wolnym są u nas jeszcze nie dostateczne, stąd też osiągnięte wyniki są prowizoryczne. Ale nawet takie badania nie skłaniają do wyciągania pozytywnych wniosków.

Wyniki różnych badań zjawisk związanych z wolnym czasem wskazują właśnie na poważny brak kultury jego spędzania, mający zresztą swoje psychospołeczne i historyczne uwarunkowanie. Sporo ludzi w naszym kraju, zwłaszcza młodych, spędza czas na bezmyślnych, a nawet często społecznie szkodliwych czynnościach, pozostając poza obrebrami tych wszystkich elementów kultury, które określamy mianem kultury wypoczynku. Również struktura czasu wolnego znacznej części ludności naszych miast pozostawia wiele do życzenia. Wynika to w dużym stopniu z niedostatecznego zainteresowania, smaku, gustu (szczególnie u młodych), a więc z braku potrzeb w zakresie różnych form wypoczynku, jak również z nieumiejętności ich wykorzystania w organizacji swego wolnego czasu. W znacznym stopniu jest to też spowodowane brakiem obiektywnych warunków materialnych, odpowiednich instytucji społecznych, kulturalnych czy sportowych, a więc ograniczonymi możliwościami w tym zakresie. Dla większości pracujących źródło trudności tkwi nade wszystko w braku dostatecznej ilości wolnego czasu. Właśnie jego niedobór jest jedną z podstawowych przyczyn dyspropor-

cji pomiędzy szeregiem oczekiwanych potrzeb i aspiracji a realną możliwością ich osiągnięcia. Brak tego czasu powoduje często zakłócenia życia społecznego, wynikające z nadmiernie napiętego bilansu czasu wielu grup społecznych.

Pozornie mogłoby się wydawać, że w warunkach 46-godzinnego tygodnia pracy, kiedy czas poza pracą wynosi 55 — 70 proc. dziennego budżetu czasu tego czasu powinno wystarczyć, aby ludzie mogli w pełni zaspokajać swoje potrzeby w zakresie różnych form wypoczynku i kultury.

Dla wielu osób dzień pracy nie kończy się jednak na pracę w zawodzie zasadniczym; istnieje praca dodatkowa w celach zarobkowych, przebiegająca różnymi formami — łączenia etatów, wykonywania prac zleconych, niesystematycznych prac zarobkowych itp. W strukturze czasu poza pracą występują różne elementy ograniczające czas wolny. Szczególnie dużo miejsca zajmują w niej nakłady czasu na komunikację i na różne potrzeby życiowe.

Nakłady czasu na przejazdy do pracy i z powrotem pochłaniają średnio 1-2 godziny, a 20 proc. ogółu pracowników ponad 2 godziny dziennie. W skali krajowej wynosi to aż ponad miliard godzin rocznie. Gdyby uwzględnić ponadto czas oczekiwania na środki komunikacji, straty wynikające z niezgodności rozkładów jazdy, czy zakłócenia komunikacji, należałoby jeszcze znacznie zwiększyć te nakłady z reguły w naszych warunkach podróży, straconego czasu. Dojeżdżając do pracy stowiamy u nas ponad połowę wszystkich pasażerów PKP i PKS. Dojazd do pracy łączy się oczywiście z poważną stratą czasu ludzi dojeżdżających, z ich zmęczeniem, a także z ważnymi kosztami. Co gorsze, wynika ona nie ze świadomego wyboru miejsca zamieszkania, lecz właśnie z braku należytej synchronizacji lokalizacji miejsca zamieszkania z lokalizacją miejsca pracy.

Dla uzyskania większej ilości czasu wolnego, niewątpliwie duże znaczenie będzie miało przewidziane w tezach na V Zjazd partii skrócenie czasu pracy. Wyraźnie wskazuje na to doświadczenia radzieckie, gdzie w warunkach 6-dniowego tygodnia pracy czas wolny wynosił, podobnie jak u nas, średnio 3 godziny, a wprowadzenie „pięciodniówki” pozwoliło na znaczne powiększenie jego rozmiarów. Obliczono, że tylko dzięki skróceniu czasu przeznaczonego na przejazdy, pracowników będą mogli wygospodarować średnio rocznie ok. 70 — 80 godzin, co jest równoznaczne z 8-10 dniami wolnymi od pracy. Dzięki nowemu systemowi pracy wolny czas obywateli radzieckich wyniesie średnio ok. 1500 godzin rocznie, co wobec 1800 godzin pracy w ciągu roku oznacza perspektywę zrównania czasu wolnego z czasem pracy.

Skrócenie czasu pracy jest na pewno jedną z głównych dróg zwiększenia czasu wolnego. Ale w obecnych warunkach nie może i nie powinno być za jedyny sposób rozwiązania problemu. Ofensywa winna być skierowana nie wyłącznie na czas pracy, lecz przede wszystkim na czas poza pracą, a mianowicie na te jego elementy, które zabierają człowiekowi mnóstwo siły i czasu, nie dając mu w zasadzie nic z punktu widzenia rozwoju jego osobowości. Główne rezerwy wzrostu wolnego czasu kryją się dziś zwłaszcza w ograniczeniu niepomniernie dużych nakładów na pracę domową, stanie w kolejkach, dojazd do miejsca pracy, we właściwym zadaniu o usługach komunalnych i społecznych, instytucjach kulturalnych, a nade wszystko w możliwości przekształcenia sfery usług w rozwinęła gałąź nowoczesnego przemysłu. Bez rozwiązania tych wszystkich problemów trudne będzie osiągnięcie poważniejszych zmian na lepsze w dziedzinie wolnego czasu, gdyż wzrost jego zasobów stał się wtedy dobrodziejstwem, kiedy istnieją obiektywne i subiektywne warunki jego pożytecznego spędzania.

Mer JÓZEF PENC
— Politechnika Łódzka



JAN KOPROWSKI

Trochę radości więcej żalu

Przebrzmiały olimpijskie fanfary. Piękna międzynarodowa impreza sportowa została zakończona. Ekipy sportowców powróciły już do swoich krajów i pora dokonać oceny ich osiągnięć oraz wyciągnąć z nich wnioski. Jasne, że interesujemy się głównie naszym zespołem olimpijskim i jego blaski i cienie zaprzatają naszą uwagę przede wszystkim. Stwierdźmy też od razu: nie da się ukryć pewnego rozczarowania. Jeśli wcale nieźle, a nawet całkiem dobrze spisali się ciężarowcy i bokserzy, to zawiedli niestety lekkoatleci. Dwa medale Ireny Szewińskiej są wielką zasługą tej doskonałej sprinterki, ale to i wszystko, czym możemy się cieszyć. Zawiodły sztafety męskie i kobiece, zawiodli oszczepnicy i dyskobolę, nie mamy liczących się skoczków o tyczce i skoczków wzwyż, świecimy pustymi miejscami w biegach średnich i długich. Nie liczą się już na świecie Sidor, Piatkowski, Szmidt, Czernik, a i tak świetna do niedawna Daniela Jaworska w konfrontacji olimpijskiej wypadła raczej słabo.

Kariera sportowca trwa krótko. Jest to piękne i tragiczne zarazem. Sportowiec jak meteor pojawia się na firmamencie rekordów nagle i równie nagle znika. Wypierają go inni, młodszy i lepsi. Olimpiada w Meksyku była imprezą dramatyczną. Nasi nie wytrzymywali tamtejszego klimatu. Ale w takiej samej sytuacji znajdowały się wszystkie ekipy europejskie. Cokolwiek by się nie powiedziało na usprawiedliwienie naszych niepowodzeń, jedno jest pewne: z Rzymu i Tokio przywieźliśmy znacznie więcej medali niż z Meksyku. Nie ulega kwestii, że nasza lekkoatletyka przeżywa upadek. Jakże to jest przyczyną?

Niektórzy publicyści lansowali od czasu do czasu pogląd, że Polska jako kraj nie duży nie posiada tak wielkiego rezerwuaru ludzkiego jak Stany Zjednoczone i ZSRR, że wobec tego możliwości jej są ograniczone i musi ustąpić większym i silniejszym. Argument ten nie wytrzymuje porównania z rzeczywistością. W Meksyku tuż za największymi potęgami sportowymi (Ameryką i ZSRR) uplasowały się Węgry i NRD, a więc państwa znacznie mniejsze od Polski. Szczególnie zdumiewa ją i wręcz rewelacyjne są postępy zawodników NRD. Z roku na rok idą oni w górę. Dziś zalicza się ich do ścisłej czołówki światowej. Można to wytłumaczyć

tylko jednym: znakomicie zorganizowanym szkoleniem. Nasi kierownicy i organizatorzy życia sportowego, a także trenerzy powinni by tam pojechać i przyjrzeć się, co i jak należy robić. W NRD istnieją postawione na świetnym poziomie ośrodki szkoleniowe, gdzie pracuje się według nowoczesnych metod, pracuje się dużo i solidnie, gdzie panuje tak niezbędna w sporcie dyscyplina, a zawodnicy poddani są ścisłym rygorom. I tu właśnie jest pies pogrzebany. Dopóki nie ulegnie u nas zmianie system szkoleniowy, nie mamy się czego spodziewać. Dyscyplina i praca to najpewniejsza droga do sukcesów.

Olimpiada w Meksyku pokazała, że na arenie sportowa wkracza nowy groźny konkurent: trzeci świat, zawodnicy krajów afrykańskich, którzy mają świetne przygotowanie i nie dźwignę. Że pobili wiele rekordów. Jak oni biegali! Rozkosza było patrzeć na zawodnika, który po dziesięciokilometrowym morderczym biegu zdobywał się na ostatniej prostej na fantastyczny wprost finisz. Stare rekordy zostały pobite, przeszły do kronik i historii. Narodzili się nowe i rodzić się będą nowe. Człowiek nie osiągnął jeszcze kresu swoich możliwości.

Zawody w dalekim Meksyku dostarczyły nam niezwyklejczy przeżyć. Okazało się przy tym, że odbiór telewizyjny z tak wielkiej odległości był często o wiele lepszy, niż z Warszawy. W tym samym mniej więcej czasie transmitowano ze Szczecina mecz piłki nożnej pomiędzy Polską i NRD. Wciąż się coś psuło, bez przerwy ukazywały się planse z przeprosinami, za usterki, obraz był słaby, niekiedy — zupełnie nie do oglądania. Wychodzi na to, że mamy nie tylko słabych lekkoatletów. Mamy także kiepską technikę telewizyjną. Jak długo jeszcze będzie ona kuleć i niedomagać?

Ponieważ tak wiele w niniejszym felietonie dzieje się, dodam do tego, że denerwujący byli nasi sprawozdawcy, samego asa, Bohdana Tomaszewskiego, nie wylaczając. Zamiast rzeczowo relacjonować przebieg zawodów, bawili się w niepotrzebnie poetyzności, byli na przemian sentymentalni lub po prostu śmieszni. Denerwowali również, oczywiście z całkiem innego powodu, sędziowie. Popelniali oni kardynalne błędy, a może zwyczajnie nie potrafili utrzymać się stroniście. I jakżeż tu wierzyć w obiektywizm i sprawiedliwość!

Czytelniku, nie oczekuj olśniewającej konkluzji. Zamiast konkluzji, posłuszę się na zakończenie cytatem z twórcy nowoczesnych olimpiad Pierre de Coubertin, który napisał był przed laty: „Aby się mogło rozwijać swoje ciało, jest konieczne, żeby pięćdziesięciu uprawiało sport. I aby pięćdziesięciu mogło uprawiać sport, jest konieczne, żeby dwudziestu się specjalizowało. I aby dwudziestu mogło się specjalizować, jest konieczne, żeby pięciu zdolnych było do najwyższych wyczynów”. Otóż to właśnie!

LISTY do REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze! W numerze „Odgłosów” z dnia 13 października br. ukazał się artykuł red. Karola Badałaka pt.: „Klub nieudaczników” budzący zastrzeżenia zarówno swoją treścią jak i ujęciem formalnym.

Ponieważ red. Badałak nie bardzo jak widać orientuje się w tym co stanowi działalność Klubu, a cały swój temperament publicystyczny kieruje na sprawy marginalne, pozwalam sobie podać do Jego wiadomości następujące znane wszystkim (tylko nie Jemu) informacje.

Otóż w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch” w Łodzi, mieszczą się czytelnia, sale wykładowe dla kursantów uczących się języków obcych, księgarnia i kawiarnia. Ponadto Klub prowadzi zakrojoną na szeroką skalę pracę społeczno-kulturalną i propagandową wyrażającą się w organizowaniu

odczytów, prelekcji, spotkań autorskich, wernisarzy i innych podobnych imprez, które zyskały sobie ogromne uznanie wśród mieszkańców naszego miasta.

W takiej sytuacji mają prawo przychodzić tu wszyscy. Przychozą więc emeryci, literaci, studenci, młodzież zarobkująca i młodzież ucząca się, która często szuka tutaj pomocy w książkach i czasopiśmie.

Może się oczywiście zdarzyć, że i do naszego Klubu zajdzie gość niepożądany. Ale goście niepożądani trafiają się wszędzie. Fakt ten jednak nie przesądza w żadnym wypadku o pracy Klubu i panującej w nim atmosferze.

Potrzebę napisania niniejszego listu podyktowała mi świadomość, że w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch” przebywają ludzie poważni, którzy artykułem K. Badałaka poculi się osobiście dotknięci.

P.S. Gwoli ścisłości na razie tylko nie ma w Klubie foteli miękkich i wygodnych, gdyż wskutek ich zniszczenia oddane zostaną do pokrycia nowym materiałem.

Kierownik Klubu MPiK „Ruch” w Łodzi
mgr ZDZISŁAW JANKIEWICZ

Szanowny Panie Redaktorze, Jestem stałym czytelnikiem doskonale redagowanych „Odgłosów”. Zewnętrzna szata estetyczna pisma zdoła gustownie dobrane fotografie, stałe ru-

bryki omawiają sprawy związane z naszym miastem — nadeje to tygodnikowi indywidualne piętno.

W nr 41 z dnia 13. X br. zmienił mnie rysunek w rubryce „Kto, co, kiedy?” ilustrujący krótkie sprawozdanie o książce o genialnym biochemiku i organiku francuskim Ludwiku Pasteurze. Chodzi o ten rysunek przedstawiający podobiznę wielkiego uczonego, a będący raczej rysunkiem małpy w okularach.

L. Pasteur był przystojnym mężczyzną, o krucznej czuprynie, wydatnym nosie, brodzie okalającej twarz. Nosił stałe okulary. W wieku starszym (rachowały się liczne fotografie), opromieniony sławą uczonego nosiwał zapożyczony wazyl i nośne modne wóznice bincenez. Oczywiście miał piękne, wyraziste. Nie noszono wówczas wykładanych kombinezynek i wążanych na węzelek krawatów, jak na rysunku, lecz sztywne wysokie kombinezyki i plastry, ledwabo nie czarne, ale takie uroczyście okazywały jak pozowanie do fotografii.

Należałoby więc ten rysunek sprostować, bo czy byłoby Panu przyjemnie, Panie Redaktorze, gdyby za sto lat przedstawiono Pana w „Odgłosach” w sposób podobny jak Pasteura?

Łączę wyraz poważania
Prof. dr BOLESŁAW BOCHWIC

Kompania „BUK” walczy

Pierwsza połowa 1943 r. przyniosła poszczególnym bojówkom akowskim zgrupowanym w powiecie radomszczańskim wiele sukcesów w walce z okupantem. Wyrosła zahartowana kadra dowódców i żołnierzy, zgromadzono zapasy broni. W tym stanie rzeczy dowódca Obwodu radomszczańskiego AK, mjr F. Polkowski ps. „Korsak” zdecydował się na utworzenie pierwszego oddziału partyzanckiego, z którym można by kontynuować systematyczną walkę z wrogiem. Oddział taki miał ponadto stanowić bazę załazkową dla powstających w przyszłości nowych jednostek.

Do głównych organizatorów tej pierwszej kompanii partyzanckiej należał również „Robotnik”¹⁾ i początkowo pełnił w niej funkcję dowódcy plutonu.

Trudno w ograniczonym objętości artykułu przedstawić dziesiątki różnorodnych akcji przeprowadzonych pod jego dowództwem. Większość z nich nadaje się do oddzielnego opracowania. Z konieczności więc wspomnę tylko o tych, które wydają się najbardziej charakterystyczne. Przedtem jednak wypada wyjaśnić, że oddziały partyzanckie AK przebywały w leśnych buszach, specjalnie do tego celu przez nie przygotowanych. Na skutek jednak różnych okoliczności, a zwłaszcza zagrożenia ze strony wroga, dość często zmieniały swoje miejsce pobytu, co sprawiałało wrażenie, że są wszędzie i w dużych ilościach, gdy w rzeczywistości pod koniec 1943 r. nie przekraczały w sumie 150 osób. Posiadały natomiast doborowych i odważnych żołnierzy, w czym przodował oddział „Robotnika”.

Miejscem koncentracji nowo powstającej kompanii leśnej był mało dostępny rejon pomiędzy moczarami, zlewający się w trzy stawy niedaleko Kobieli Wielkich. Tutaj właśnie 16 sierpnia 1943 r. na czele ponad dwudziestoosobowej bojówki przybył „Robotnik”. Od tego już czasu aż do wyzwolenia kraju będzie bez przerwy znajdował się w lesie.

Tymczasem dla partyzantów zaczął się bardzo trudny okres. W obozie poza kilkudziesięcioma ludźmi niczego nie było: ani namiotów, szalasów, żywności, ni też podstawowych narzędzi. Wszystko co potrzebne do życia, trzeba było stworzyć własnymi rękoma i zdobyć osobistym sprytem. Ludzie „Robotnika” jak zresztą i on sam, mając za sobą duże doświadczenie w penetracji terenu — byli wprost nieznajkami w zdobywaniu najpotrzebniejszych przedmiotów.

Najtrudniej jednak było uzyskiwać żywność. Wsie polskie ograbione przez Niemców niewiele mogły jej dostarczyć przebywającym w lesie żołnierzom. Okoliczne majątki ziemskie też nie zawsze dysponowały odpowiednimi nadwyżkami. Często właściciele ich tłumaczyli, że są bezsilni wobec przemocy okupanta, który korzystając z nowoczesnych maszyn, wszystko zdążył na czas wymłócić i zabrać.

Aby wytrwać im z ręk ten argument postanowiono systematycznie niszczyć młokarmie i inne bardziej skomplikowane narzędzia rolnicze. Wykonaniem tych zadań zajęli się ze swoim plutonem „Robotnik”.

Najkorzystniej przebiegała akcja zaopatrzeniowa w majątku Pławno. Zarządzający nim administrator niemiecki zgromadził tak duże ilości produktów żywnościowych, a wśród nich soki, konfitury i koniaki, że wywieziono ich stamtąd kilka wozów konnych.

Niezależnie od opisanych już akcji, istniała pilna potrzeba walki z Niemcami. To był przecież cel zasadniczy powołanego do życia oddziału partyzanckiego. Ponieważ najbardziej bestialsko zachowywała się żandarmeria, postanowiono dokonać jednocześnie kilku zasadzek na jej patrole. Sprawa była o tyle nagła, że w tym samym czasie przejeżdżająca przez wieś Kofiny żandarmeria zauważyła młodego chłopca, który na ich widok uciekł do domu. Wtedy hitlerowcy otoczyli budynek, wyciągnęli chłopca i za stołową zastrzelili. Jednocześnie w ohydny sposób wymordowali całą rodzinę gospodarza.

Planowana akcja partyzancka miała być jednocześnie odwetem za mord kofinśki.

Na wyznaczone zadanie wyruszyli dwa plutony żołnierzy. Pierwszy z nich zaatakował szosę radomsko-częstochowską. Wkrótce nadjechały na tę zasadzkę dwa samochody z żandarmami. Partyzanci otworzyli ogień, jednak nie posiadając sprawniej broni maszynowej, musieli się w końcu wycofać. Stracił nie ponieśli żadnych. Po stronie wroga byli zabici i ranni. Drugi z plutonów, pod dowództwem Jana Kalety ps. „Postrach”, zorganizował zasadzkę na drodze Radomsko-Przedbórz w rejonie Masłowic. Po długim oczekiwaniu zauważono wreszcie nadjeżdżającą brykadę z dwoma żandarmami. Na wezwanie do poddania się, tamci odpowiedzieli ogniem. Rozpoczęła się walka. Obaj Niemcy zajęli stanowiska w rowie po przeciwległej stronie drogi. Jeden z nich był już ciężko ranny, ale drugi zawzięcie się bronił. Trudność polegała na przeskokowaniu odkrytej powierzchni drogi. Wreszcie wśród partyzantów znalazł się śmiałek. Błyskawicznie naciera na Niemca i chce do niego strzelać. Nie może — ma w łufie niewypał. Wtedy rzucił w żandarma pistoletem i natychmiast skacze mu na głowę. Niemiec w dalszym ciągu nie kapituluje. Zwarł się ze sobą, ale w tym momencie nadbiegli koledzy. Jeden celny strzał i Niemiec nie żyje.

Radość wśród partyzantów z powodu udanych akcji nie trwała długo. Niemcy w odwet za zabicie żandarmów rozstrzelali 20 zakładników polskich.

Nadeszła zima. W obozie przebywało około 150 żołnierzy. Wszyscy nie mogli pozostać w lesie ze względu na warunki. Dokonano poważnej redukcji kompanii, a „Robotnikowi” wydzielono 25 ludzi i polecono założyć własny oboz w rejonie Bukowej Góry. Miało to miejsce w drugiej połowie grudnia 1943 r.

Dzięki ogromnym wysiłkom udało się oddziałowi „Robotnika” zakończyć pracę nad przystosowaniem do życia w zimowych warunkach nowego obozu, a nawet na wypadek zaskoczenia częściowo go ufortyfikować — już do dnia 24 grudnia.

W początkach nowego roku „Robotnik” otrzymał rozkaz dokonania zniszczenia niemieckiej wsi Antoniów. Była to osada częściowo ufortyfikowana, a wszyscy jej mieszkańcy uzbrojeni. Chodziło w tym wypadku o to, aby pokazać, że przed ruchem partyzanckim nie może się ostać nawet broniona wieś. Plan „Robotnika” był prosty: uderzyć przez zaskoczenie na wieś z obu stron, a w tym czasie grupa szturmowa winna zdobyć bronioną przez Niemców bunkier. Przy praktycznym realizowaniu tych zamierzeń okazało się, że jedna z drużyn spóźniła się z zajęciem swoich miejsc i Niemcy dysponujący bronią maszynową nie dopuścili partyzantów do bunkra. Powiadomiona żandarmeria przyszła im z odsieczą. W bardzo niekorzystnej sytuacji przynębiony niepowodzeniem „Robotnik” nakazał odwrót. W walce został ciężko ranny jego zastępca i nieodżałowany przyjaciel „Mars” (M. Margas). W czasie pościgu za oddziałem „Robotnika” żandarmeria znalazła na wsi ranego „Marsa”, który w niedługim czasie zginął w obozie. Tej samej grupie żandarmów miejscowy gajowy udzielił informacji, gdzie znajduje się oboz partyzantów. Hitlerowcy podjęli odwody i następnego dnia przypuścili szturm na lasy w Bukowej Górze. „Robotnikowi” w porę jednak doniesiono o zbliżającej się oblacie niemieckiej, toteż wszyscy się do obrony odpowiednio przygotowali. Takiego spotkania partyzanci jeszcze nie mieli. Pozwoliłi podejść żandarmom na odległość 30 m i wtedy dopiero rozpoczęli ogień. Nie pomogła kilkakrotna przewaga wroga i w ludziach i w broni. Musieli się ze stratami wycofać.

„Robotnika” nurtowała jednak myśl o bicia Antoniówa. Kiedy wiosną uzyskał zgodę na ponowne uderzenie na wroga wieś, postanowił się szczególnie do tej akcji przygotować. Aby zwiększyć siłę uderzeniową, jego oddział otrzymał dodatkowo do pomocy pluton „Michała”. W sumie siły partyzantów przewyższały możliwości Niemców.

O zmroku 30 kwietnia 1944 r. rozpoczęło się natarcie na Antoniów. Początkowo wszystkie drużyny wykonywały planowo powierzone im zadanie. Jednak w momencie, kiedy Niemcy użyli broni maszynowej, atak partyzantów poważnie osłabł. „Robotnik” jest na czele, daje przykład odwagi i poświęcenia. Wpływa to zachęca jako na większość żołnierzy. Już są blisko bronionej przez wroga wartowni, ale wtedy celny strzał w ich stronę ciężko rani „Robotnika”. Otrzymał skomplikowaną przetrzał karku, prawej łopatki i klatki piersiowej. Wypadek ten spowodował odwrót partyzantów i wycofanie się do własnych siedzib. Wśród ludzi „Robotnika” zapanowało przygnębienie. On sam ukończony w leśnym bunkrze otoczony pomocą lekarzy i sanitariuszy „Szefuńci” przechodził okres rekonwalescencji. Jednak zdrowy organizm i wzorowa opieka współtowarzyszy powodowały, że dowódca czuł się coraz lepiej.

W miesiąc później „Robotnik”, jeszcze niezupełnie zdrowy, podejmuje się bardzo ryzykownej wyprawy do Radomska w celu zniszczenia tartaków Reschopa i Millera. Miejscowe oddziały AK próbowały już tego dokonać — jednak bezskutecznie. Niemcy otoczyli te zakłady wzmocnioną ochroną żandarmów, sami wzbudowali wielozłoty obserwacyjny, były tylko zapewnić sprawną funkcjonowanie tartaków.

Oddział „Robotnika”, wzmocniony dodatkowo innym oddziałem akowskim i grupą minierów, wyruszył lasami w stronę Radomska. Po bardzo forsownym marszu, przed wieczorem 31 maja 1944 r. partyzanci znaleźli się tuż koło miasta w miejscowości Psia Górka. Tutaj od miejscowego łącznika dowiadują się, że w Radomsku jest koncentracja żandarmerii i stoi około 100 ciężarówek gotowych do

wyjazdu. Takiego obrotu sprawy i takiej przeszkody nikt się nie spodziewał. „Robotnik” zwołuje naradę starych partyzantów i cały ten kolektyw podejmuje odważną decyzję: rozkaz wykonać. Następnie podział zadań i poszczególne drużyny wyruszają do akcji. „Robotnik” osobiście dowodzi grupą szturmową, której zadaniem jest wysadzenie w powietrze tartaku Reschopa. Już są pod wysokim płotem zamykającym im drogę. Idzie w ruch siekiera. Niektórzy żołnierze przechodzą przez płot. Niemcy otwierają bezładny ogień. Noc chroni jednak partyzantów. Grupa minierów jest już w głównej hali. Zakłada ładunek plastiku do potężnej parowej maszyny i podpala lont. Wszyscy opuszczają tartak. Nagle dach hali otworzył się niby jakaś triumfalna brama i straszny huk wstrząsnął powietrzem. Zadanie wykonane. W tym czasie inna grupa „Robotnika” wysadziła tartak Millera.

W momencie odwrótu doniesiono „Robotnikowi”, że oboz jego w lasach redzińskich został zbombardowany i że na tym samym terenie Niemcy przeprowadzają pacyfikację. Mimo piekielnego wyczepiania cały oddział natychmiast rusza ku Redzińskom. W obozie bowiem zostali kobiety, szyjące białe żółnierzy i kilku rannych partyzantów. W wielkim napięciu docierała wreszcie do celu. I oto młde rozczarowanie — oblawa przeszła bokiem i obozu nie wykryła.

W połowie czerwca 1944 r. oddział „Robotnika” otrzymał rozkaz wysadzenia pociągu towarowego w rejonie Bloku Dobroszyckiego k. Radomska. Czasu na przygotowanie było mało, toteż po krótkim tylko przygotowaniu wyruszone na zadanie. W drodze, w pobliżu wyznaczonego miej-

sca zasadzili natknął się „Robotnik” na grupę żołnierzy AK dowodzonych przez „Jasze”. W rozmowie z tym ostatnim dowiedział się, że akowcy niedawno załazyli pociąg na malej stacji w Teklinowie i rozbili jadących w nim Niemców. Należało więc oczekiwać wzmocnionej ochrony torów. Rozkaz był jednak rozkazem i w każdym wypadku należało go wykonać. Kiedy partyzanci dobrnęli do toru i przygotowali odpowiednie miejsce do założenia miny, czekano już tylko na łącznika, który miał donieść, o której godzinie będzie jechał pociąg towarowy. Wreszcie zjawił się łącznik. Pociąg miał przejechać za kilkanaście minut. Minerzy uporali się błyskawicznie ze swoją pracą, po czym nastąpiła chwila dręczącego oczekiwania. Wtem z oddali dochodzi dudnienie wagonów. Ale co to? Wyraźnie słychać, że to pociąg z przeciwległej strony. Może to osobowy? Rozkaz brzmiał wyraźnie: wysadzić tylko towarowy. „Robotnik”, podekscytowany, czeka w napięciu. Jest, już go widać i to ten, o który chodziło, z zachodu na wschód. Jaka wielka ulga. Lokomotywa sapie i już nadjeżdża na rań. Pierwsze koła przeszły i dopiero tył wywołują przelisk miny. Potężny huk i wagony w śpiętrzeniu tworzą drabinę do nieba. Partyzanci wyglądają z ukrycia i oczom nie wierzą. Zwój żelazta przewraca się na drugi tor, po którym jedzie z przeciwka inny pociąg. Nie zdążył zahamować i oba



Łukasz Rogiński: Obrońcy

transporty zostały prawie doszczętnie zniszczone. Dla partyzantów czas odwrotu.

Nadszedł sierpień 1944 r. Do lasu doszły wieści o wybuchu powstania w Warszawie i bohaterskiej walce stolicy. „Robotnik” przygotowywał swoich ludzi do nowych zadań p-ko Niemcom, aby przynajmniej w ten sposób dopomóc walczącym powstańcom. Nie wcielił jednak tych zamiarów w życie. 10 sierpnia zjawił się w jego obozie łącznik z rozkazem wymarszu na rozbiórkę oddziałów AK w gajówce Jacków. Nikt początkowo nie wiedział, o co chodzi. Dowódca oddziałów akowskich w powiecie radomszczańskim „Andrzej” (por. F. Budniak), po dokonaniu zmian organizacyjnych i powiększeniu składu jednostek do pełnej kompanii, mianował „Robotnika” swoim zastępcą, a nieco później, kiedy został ranny, przekazał mu całe nad nią dowództwo. Nowo powstała kompania, która otrzymała kryptonim „Buk”, przemaszerowała do Ferdynandowa i tam po włączeniu doń oddziałów lasnych z powiatu włoszczowskiego stworzyła batalion „Las” jako szturmowy batalion 7 Dyw. Piech. AK. Tamże żołnierze oczymali wiadomość, że wszystkie związki, taktyczne z tych terenów udają się na koncentrację w okolicy Przysuchy (wojew. kieleckiej), by stamtąd pójść na pomoc walczącej Warszawie.

Dużej szansy skupienia tak znacznych oddziałów, dowództwo AK nie wykorzystało, a stwierdziwszy, że nie dysponuje siłą na tyle, aby uderzyć na Warszawę, wydało rozkaz powrotu poszczególnym ugrupowaniom do swoich macierzystych powiatów. Z batalionem „Las” w drogę powrotną udała się także kompania „Robotnika”.

Cała marszruta kompanii „Buk” do powiatu radomszczańskiego to jedno pasmo walk z Niemcami. Opisanie ich wszystkich przekracza ramy tego artykułu. Dość powiedzieć, że w okresie od końca sierpnia do końca grudnia 1944 r. kompania „Buk” sama, bądź z innymi jednostkami akowskimi brała udział co najmniej w 14 poważnych bojach z Niemcami (pod Rudą Pileczyką, Mokrym Lasem, Jackowem, Brzozówkami, Rogami, Podświerkiem, Krzepinem, Kossową, Henrykowem, Brześciem). W walkach tych zginęło ponad 250 hitlerowców, a drugie tyle zostało rannych.

24 grudnia, w czasie uroczystego spotkania żołnierskiego „Robotnik” został odznaczony Krzyżem Walecznych po raz drugi. W kilka dni później (1. I. 1945 r.) otrzymał Krzyż Virtuti Militari i awans na porucznika.

17 stycznia 1945 r., a więc w momencie wkroczenia wojsk radzieckich do powiatu radomszczańskiego, „Robotnik” dokonał demobilizacji oddziału, kończąc tym samym chlubną epopeję walki z Niemcami.

W aktach znajdujących się w łódzkim ZBoWiD jego bezpośredni zwierzchnik z czasów okupacji taką pozostawił o „Robotniku” opinię:

„Służbę w walce zbrojnej skierowanej p-ko okupantowi rozpoczął w stopniu kaprała. Posiadając wybitne zdolności i cechy dowódcze oraz organizacyjne awansowany poprzez kolejne stopnie do stopnia porucznika. Pełen odwagi i poświęcenia w bezkompromisowej walce z wrogiem, prostolinijny, w postępowaniu sprawiedliwy, obowiązkowy, skromny we własnych wymaganiach, ale zapobiegliwy jeżeli chodziło o zaopatrzenie swych żołnierzy. Pełnia tych zalet charakteru sprawiła, że „morale” oddziału, którym dowodził — w najniekorzystniejszych warunkach, w jakich znajdowały się partyzanckie oddziały, było niezwykle wysokie, czego sprawdzianem jest piękna i bogata historia oddziału. Posiadając duże wyrobienie polityczne i społeczne, wyniesione z dawnej pracy w PPS i w OMTUR, był budującym przykładem dla swych podkomendnych, a nawet i dowódców. Po rozwiązaniu Armii Krajowej — pozbawiony jakiegokolwiek wytycznych ze strony dowództwa AK w sytuacji nie wyjaśnionej i w atmosferze sprzecznych poglądów, kierując się poczuciem rozsądku i odpowiedzialności, powziął słuszną decyzję pozytywnego ustosunkowania się do obecnej rzeczywistości i wyłączenia pracy dla odbudowania Ojczyzny”¹⁾.

Istotnie, własną postawą zasłużył sobie na taką opinię całkowicie.

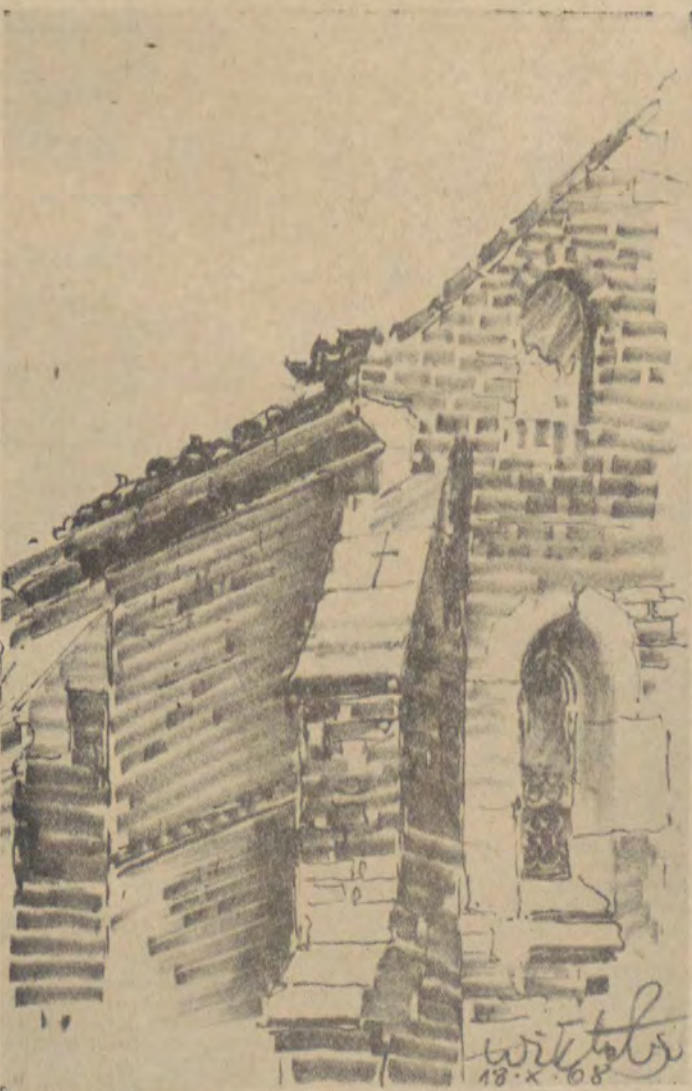
¹⁾ Por. T. Telma: „Odważny partyzant”, „Odgłosy” 1968, nr 38, s. 4-5.

²⁾ Zob. Relacja dr inż. F. Budniaka, b. kpt. AK. ZBoWiD w Łodzi,teczka osobowa B. Skoczyńskiego.



JERZY WILMAŃSKI

Opowieści o sztuce budowania



„Jesień jest na Krakowie dzisiaj” — powiedziałem sobie za poetą, ale była to jesień nie złoto-polska, szeleszcząca liśćmi na Plantach, lecz jesień pochmurna i ponura, zacinająca zimnym „kapuśniaczkiem”... W takiej aurze nawet piękny Kraków nie jest wcale ładniejszy od mojej brzydkiej Łodzi.

Przyjechałem nocą, bo sekretarka w dziekanacie Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej powiadzała mi przez telefon:

— Profesora Zina najlepiej zastać przed ósmą rano w Katedrze Historii Architektury Polskiej...

Jest więc siedma rano, jeszcze sprzątaczkę gospodarują w salach wykładowych, wiatr hula po drugim piętrze gmachu. Korytarz obwieszony planszami... Jakaś stara chałupka w kilku różnych wariantach i rzutach, jakaś elewacja rynku, cerkiewka z Biłgorajskiego, plan urbanistyczny Ostrowka... czytam lakoniczną notatkę na planszy „Zatwierdzam do rozrysu. Wiktor Zin”...

A oto i profesor. Siadamy w pełnym zieleni gabinecie, mam przygotowane pytania, na początku to pytanie, które boję się zadać...

Więc rozmawiamy o telewizji, profesor Zin to już w tej chwili człowiek-instytucja, wykładowca, który mówi do wielomilionowego audytoria. Mówimy zatem o tych prawie stu audycjach, które znalazły tak żywy oddźwięk wśród odbiorców, o wadze tematu, który zawrzeć trzeba w 19 minutach programu i o tym, że architektura jest sztuką, na którą jeszcze nie nauczyliśmy się patrzeć jak na sztukę...

„Rzecz charakterystyczna — mówi profesor Wiktor Zin — w kilku audycjach mówiłem o „architekturze pól” o lasach, snopach zbóż, o tataraku — to przecież też swoista architektura natury, przyrody... I posypały się listy wołające o więcej tego typu audycji. Najwięcej tych prośb miałem ze Śląska i właśnie z Łodzi... Świadczy to, że ludzie z ośrodków uprzemysłowionych, żyjący w centrum urbanizacji, w napięciu charakterystycznym dla przemysłowego tempa — szukają jakiegoś kontaktu z przyrodą — choćby za pomocą telewizji, szukają humanizacji życia, tęsknią za harmonią, bezkresem pól, właśnie ową legendą z tataraku...”

To prawda, a jeśli jeszcze dodam od siebie, że profesor Zin potrafi wprowadzić do tych audycji jakąś atmosferę intymności, nastroju, to nie może dziwić spontaniczna reakcja na pejzaże polskie malowane „piórkiem i węglem”. Ale czy tylko „piórkiem i węglem”? Także słowem, bo właśnie oryginalna i na strojowa narracja profesora Zina tworzy ów urokliwy stop audycji krakowskiej telewizji.

Osobiście intrygowała mnie jedna sprawa. Otóż pamiętam przed laty, kiedy cykl rozpoczynano, że wówczas dominował w audycji rysunek. Słowo było oszczędne i właściwie uzupełniało tylko w niezbędnych momentach rysowany obraz. Wydawać by się mogło, że był to ideał telewizyjnego programu. Dominuje obraz — słowo jest uzupełnieniem.

Ale od jakiegoś czasu audycje profesora Zina przeszły jak gdyby metamorfozę. Słowo — narracja stały się równorzędnym partnerem rysunku-obrazu. Narracja stała się elementem bardzo znaczącym, niejako wiodącym w programie. I — o dziwo — ta metamorfoza w kierunku — wydawać by się mogło — „nie telewizyjności” programu... zdobyła mu nowe rzesze zapalonych słuchaczy i widzów.

Mówię to wszystko, a profesor Zin uśmiecha się i powiada: „Mój telewizyjny odbiorca, czy — jak ja go nazywam — telewizyjny student, nie może być wciąż na pierwszym roku. Uważam poza tym, że każda rzecz musi się zmieniać, nie może zastygać w jednym kształcie. Prawda — początkowo był rysunek plus komentarz, ale rzeczywiście od jakiegoś czasu zmieniłem formę, chcąc ją w większym stopniu nasycić treścią. Oczywiście nie wiedziałem czy to chwyci...”

— Ale chwycił!

— Chyba tak i to dobrze, bo przecież architektura to nie tylko mur, wykusz czy kolumna... Architektura to sztuka, jak żadna inna związana z człowiekiem. Tym, który ją tworzył i tym, który z niej korzysta. Wokół naszej polskiej architektury działały się nasze ludzkie, polskie sprawy. Jakże o nich nie wspomniać rysując architekturę i mówiąc o niej.

Dam panu przykład. Rysowałem kiedyś stary, nieczynny już wiatrak. Stojąc na wzgórzu wieńczył pięknie krajobraz, był pięknym elementem tego krajobrazu. Ale czy to wszystko? Otóż nie. W trakcie rysowania podeszedł do mnie chłop, zaczęliśmy rozmawiać i okazało się,

że z tym wiatrakiem związana jest słynna w okolicy partyzancka bitwa, że otoczeni w nim partyzanci bohatersko bronili się przed hitlerowcami... A więc ów stary wiatrak to nie tylko fragment naszej architektury, ale także fragment naszej historii. Jakże o tym nie wspomnieć rysując przed wielomilionową widownią stary, drewniany wiatrak?

Slucham tych słów i myślę sobie, że jest w nich nie tylko mądra, obywatelska racja, ale także pasja popularyzatorska w tym najpełniejszym, najszerzym pojęciu tego słowa. Więć może książka? — pytam profesora Zina. Przecież telewizja to sztuka ulotna, czy nie warto utrwalić, zamknąć to wszystko w druk i rysunek?

— Będzie książka — odpowiada profesor. Wydadzą ją „Arkady”. Próba jest oczywiście ryzykowna, chcę bowiem przenieść konwencję telewizyjną a więc kinetyczną na konwencję słowa drukowanego i stały rysunek — na książkę.

Czy się uda? Zobaczmy. O architekturze można mówić i pisać podręcznikowo, ale można także podawać takie jej cechy, aby łączyć ją z człowiekiem-twórcą i użytkownikiem. Pisząc o strzechach i wiatrakach, o starych budowlach i pałacach trudno nie wprowadzić autentycznych historii związanych z nimi. Cztery tomy mojej książki o architekturze nie będą rzeczą prostą powtórzeniem audycji, bo w takim kształcie byłoby to niemożliwe, ale chcę zachować w niej te myśli prze wodnie i te tony, znane z ekranu...

Czas mija, za ścianą huczy gwar studenckich rozmów a ja wciąż nie mam odwagi zadać tego pytania, które jako pierwsze zapisałem sobie w moim notatniku. Wreszcie decyduję się... „Panie profesorze — mówię — czy można mówić o architekturze polskiej, czy tylko o architekturze w Polsce. Przecież nie wy myśliłmy ani baroku, ani gotyku... Może to głupie pytanie, ale...”

— „Pytanie nie jest głupie, jest, powiedziałbym, zasadnicze... Oczywiście na pewno nie stworzyliśmy ani baroku, ani gotyku, ale też na pewno nasz barok i gotyk nie są powtórzeniem tych samych stylów z innych krajów. Nasza architektura ma tak wiele cech odrębności naszej, polskiej, że staje się właśnie niepowtarzalną i jedyną na świecie. Staje się polską architekturą. To nie my, to cudzoziemcy nazwali ka plicę Zygmuntowską „perłą Renesansu na północ od Alp”. W okresie Renesansu Polacy mieli swój własny pogląd na sztukę, na architekturę — wynikiem tego są budowle niepowtarzalne, które naprawdę stanowią polską architekturę. Włoscy architekci budowali w Polsce pod polski gust, polski pejzaż, polski klimat wreszcie — i dziś przyjeżdżający do Polski Włosi patrzą i mówią, że tak wspaniałych budowli renesansowych jeszcze nie widzieli. A gdyby przenieść włoskie perły architektury w nasz polski pejzaż i klimat — byłoby nie do strawienia... W Polsce krzyżowały się różne wpływy i w ich wyniku powstała niepowtarzalna, autentycznie polska architektura — czerpiąca zresztą ze starej polskiej architektury drewnianej...”

Profesor Zin bierze kartkę papieru i flamastrem rysuje zdobioną, drewnianą kolumnkę z XIII wieku... „Identyczne elementy — mówi — znajdzie pan na Wawelu w budowlach późniejszych, już marmurowych”.

Za oknem na dziedzińcu Politechniki wiatr przepędza brunatno-złote przymy mokrych liści. Dla profesora Wiktora Zina zaczyna się dzień pracy — natrączywie dzwonią telefony, dobija się młodzieżyastowa z Rzeszowa... Zamykam białe drzwi z tabliczką „Katedra Historii Architektury Polskiej”. Za dwa tygodnie usiądę znów — telewizyjny student — razem z wielomilionowym audytoria, aby wysłuchać kolejnej opowieści profesora Zina o pięknej sztuce budowania.

Tranzystor

Była antyczna w swojej nowoczesności. Patrzyłem na Dianę gdy stała długonoga i smukła w opalaczach jak krótkiej tunice, ale dziewczyna zdawała się mnie nie dostrzegać. Pojawiała się na plaży zwykle ze swoją młodszą siostrą. Kiedy szły i miały mnie, moja Diana śmiała się do swej siostry, zbyt głośno jednak, abym nie rozumiał, że chce zwrócić na siebie moją uwagę. Kręciłem się koło nich, ale nie dawały mi sposobności do nawiązania rozmowy. Widziałem chłopców, którzy próbowali do niej zagadywać. Odpowiadała im coś krótko, a oni udając całkowitą obojętność odchodzili, wlokąc się brzegiem lub wskakiwali do wody.

Kiedy dziewczyny kąpały się, podplwiałem do nich blisko kajakiem, ale nim zaproponowałem Dianie lub jej siostrze przejażdżkę, zawracały do brzegu. Diana wybiegała na piasek w kostiumie bikini, niemal zupełnie naga i wybuchając śmiechem padała na wznak. Odpływałem wtedy, kierując się na środek Zalewu, doganiałem statki obwożące turystów, posyłałem całusy dziewczętom wychylonym za burtę, aż wreszcie zmęczony wracałem na przystań.

Czasem idąc nad wodę zabierałem ze sobą mego „Guliwera”, aby dziewczyna, jeśli już nie chce na mnie zwrócić uwagi, zainteresowała się chociaż moim tranzystorem. Na próżno. Udała, że nie słyszy dość przeźwiśnie brzęczących tonów muzyki. Dawała mi, zdaje się, do zrozumienia, że ani ja, ani mój „Guliwer” nie stanowimy dla niej obiektu godnego zainteresowania.

Któregoś niedzieli zobaczyłem chłopca, z którym raczyła rozmawiać i to w ciągu całego niemal popołudnia. Był antypatyczny, przynajmniej mnie się takim wydawał. Kąpał się oboje przy brzegu, a kiedy wyszedł z wody jego spodnie kąpielowe lepiły mu się do chudych bioder i kościelnych ud, a biała skóra nie wystawiana dotąd na działanie promieni słonecznych sprawiała na mnie wrażenie czegoś wymokłego i nieprzyzwoitego. Ale minęła ta niedziela i wymokły dryblas zniknął. Na drugi dzień przez najwykleszy przypadek udało mi się zawiązać z Dianą znajomość. Wtedy to właśnie mój ojciec i ja poszliśmy do ośrodka na obiad, gdyż popsuła nam się elektryczna maszynka, na której zazwyczaj pitrasiliśmy sobie posiłki. Wśród osób siedzących na zatłoczonej sali, dostrzegłem od razu Dianę. Cała rodzina była przy stole. Ona, jej rodzice i jej siostra. Siostra nerwowo, uparcie stukając łyżką w blat stołu przykryty nieczystym obrusem. Rodzice, para grubasków w średnim wieku, wpatrywali się z uporem w sufit, jakby śledząc z zainteresowaniem waleśjące się po nim muchy. Moja Diana, z głową wspartą na dłoni patrzyła w okno, za którym kołysał się na przystani motorowy statek. Akurat zrobiły się dwa wolne miejsca przy sąsiednim stoliku. Skoczyłem tam zaraz, aby nie ubiegli mnie inni. Mój ojciec z trudem przeciskał się przez salę. Usiadłem przy stoliku. Obok, tyłem do mnie siedziała Diana. Powiedziałem smacznego, adresując pozdrowienie do całego stolika, ale tylko Diana odwróciwszy głowę, uprzejmie skinęła. Bąknęła nawet zdaje się coś w rodzaju powitania. Gdy czekaliśmy wciąż bezradziejnie na pojawienie się kelnerki, usłyszałem jak dziewczyna mówi do swej siostry, że chce jej się okropnie pić, i że oddałaby królestwo za szklankę oranżady. Powiedziała to dość głośno z nutką egzaltacji, tak normalnej u dziewcząt w jej wieku. Poderwałem się z krzesła i postanowiłem przynieść jej coś do picia. Przedzierając się więc przez zaporę stolików, krzesel, łódek ustawionych jak bagnety, obłych pleców, wyciągniętych tydek, brzuchów, pośladków. Dobrze wreszcie do obłożonego bufetu, używając nieco brutalnej siły, złapałem za rękaw, oburzoną tym sprzedawczynię i nie puszczając fartucha poki kelnerka nie podała mi butelki oranżady. Rzuciłem pięć złotych na ladę i nie czekając na wydanie mi reszty, wykonywałem trudny przemarsz przez zatłoczoną salę, trzymając nad głową butelkę jak sztandar, jak świadectwo mego triumfu. Postawiłem butelkę przed Dianą. Chciałem nalać ciepłego, żółtawo-zielonego płynu do szklanki, ale dziewczyna, chcąc najwidoczniej zakończyć tę scenę, która zaczynała interesować wszystkich naokoło, odebrała z mej ręki butelkę i naturalnym tonem, jakby wszystko odbywało się między starymi znajomymi odebrała się do mnie: „Dziękuję panu, panie Staszku”. Skąd znała moje imię? W momencie kiedy po zjedzeniu obiadu wstawaliśmy od stołu, zaproponowałem jej przejażdżkę kajakiem. Byłem przygotowany na odmowę. Ale zgodziła się.

Przyszła punktualnie. Wyciągnęła do mnie dłoń.

— Jola — powiedziała. — Jestem Jola.
— Szkoda — bąknęłam ścisłając jej rękę.
— Czego szkoda? — spytała zdziwiona.
— Ach, nic. Dla mnie była pani Diana. Diana, pani wie...

— Diana... — roześmiała się. — To coś od tych staruszków Rzymian? Pan jest archeologiem?

— Nie — odpowiedziałem. — Studiuję historię... A pani gdyby wzięła do ręki łuk...

— Co też pan mówi — zaśmiała się Jola.
— Nie strzelam z łuku. A starożytność nie bardzo mnie interesuje.

Szliśmy do przystani, gdzie wypożyczyłem kajak. Lekki, niemal tanecznymi ruchami Jola przeszła na przód łódki. Zażądała drugiego wiosła, ale nie zgodziłem się. Wypłynęliśmy na Zalew. Nie mówiąc nic do siebie znaleźliśmy się dość daleko od brzegu. Obok nas przepływał statek z turystami. Z megafonów płynęła muzyka. Pary łańczyły na pokładzie. Jakies dwie dziewczyny stały oparte o burtę i patrzyły w wodę, to w odległą linię horyzontu, to na nas. Odłożyłem wiosło. Kajak dryfował poprzecznie jeszcze nabrany rozpędem.

— Przyjemnie? — spytałem Jolę.

Zaśmiała się cichutko. — O! tak. Bardzo się cieszę, bardzo...

Pochlebilo mi to, ale nie miałem odwagi spytać dlaczego przedtem unikała mnie.

Z teki debiutów

JAN WROBEL

Poległym żołnierzom

szelest opadającego liścia
sączy się w kamienne
płyty

plaszczem wiecznego
trwania
spoczywające prochy
ludzi bliskich i nieznanym
którzy padli
dzień przed świtem

na naszej ziemi
dla naszej ziemi
by kielkujące życie...

Mogila partyzanta

podłódzki wiatr
mały kopczyk
na rozległej równinie
wciśnięty
między brzozy

może to sen tylko

mały kopczyk
przykryty tętno życia
wiatr pisze kronikę
na równinach

Próbowałem rozmowy, ale jakoś nie udawała się. Gdy w pewnym momencie, choć myślałem, że nie był on doprawdy zbyt dobrze wybrany, usiłowałem przyciągnąć ku sobie dziewczynę i pocałować w zbrązowiałą, pokrytą meszkiem skórą na jej karku, Jola odgłuszyła się tak energicznym ruchem, że kajak zakolysał się niebezpiecznie.

— Daj spokój — powiedziała. — Daj spokój. Na środku Zalewu?

A ja mimo jej odmowy byłem szczęśliwy, bo po raz pierwszy odebrała się do mnie na ty.

Od tej pierwszej przejażdżki kajakiem przebywaliśmy coraz częściej ze sobą. Płynaliśmy, biegali po piasku, kąpali, chodzili na spacer. Często towarzyszyła nam jej siostra, Marysia. Zawsze milcząca, jakby nad czymś głęboko zamyślona, nie biorąc udziału w naszych rozmowach.

Kiedyś wybrawszy się z Jolą kajakiem na wodę, skręciłem po kilkunastu minutach w kierunku brzegu, gdzie zielenił się młody zagajnik. Jola o nic nie pytała. Jak nie pytała o nic, gdy potem leżeliśmy obok siebie cisi i wpatrzyli w chwilejące się na wietrze czubki młodych sosen.

Często teraz wybieraliśmy się do zagajnika, zostawiając na brzegu naczynia z wodą. Tymczasem, że nie mogło do kajaków zabrać ich obydwoje, że popłynęliśmy troszeczkę i wrócimy, a wtedy ona ze mną pojedzie, albo że na drugi dzień... Marysia stała na brzegu wpatrzona w nasz odpływający kajak, potem odwracała się i wolno oddalała, wspinając się na skarpe, aż pochłaniała ją zielen.

Kiedyś w zagajniku, kiedy czuliśmy się najzupełniej sami uniosłem wzrok znad przymkniętych oczu Joli. Spozregłem Marysię. Stała oparta plecami o drzewo. Blisko nas, niemal o wyciągnięcie ręki. Patrzyła na nas szeroko otwartymi, zdziwionymi oczami. Odskończyłem od Joli, ta zaś dopiero po chwili zobaczyła siostrę.

— Skąd się tu wzięłaś? — spytała Jola podnosząc się z trawy.
— Przyjechałam statkiem — odparła tamta spokojnie.

— Czego tu chcesz?

Ale tym razem Marysia nie odpowiedziała.

Ja. Spoglądała to na siostrę, to na mnie z zagadkowym, jakby przylepionym do zaciśniętych warg uśmiechem. I nagle zaczęła krzyczeć. Wykrzykiwała jakieś słowa niewyraźne, chyba obelżywe, bo Jola stała teraz naprzeciw niej czerwona ze wzburzenia, hamując gniew. Chwyciła Marysię za rękę.

— Milcz — powiedziała władczo. — Zamilcz!

— Powiem! Wszystkim powiem — krzyczała Marysia. — Powiem! Wszystkim powiem! — Krzyk przeszedł w płacz i w szloch. Wtedy Jola nagle uderzyła płaską dłonią w twarz siostry. Tamta przywarła plecami do drzewa, ale zamilkła. Jola odwróciła się i szła teraz spokojnie ku mnie. Gdy w chwilę potem spojrziałem w kierunku gdzie stała Marysia, dziewczynki już nie było.

— Co teraz zrobimy? — spytałem Jolę. Wzruszyła ramionami. — Okropna ta smarkata — dodała.

Wróciłem do domku campingowego pełen najgorszych przeżyć.

— Gdzie ty teraz przepadasz całymi dniami? — spytał mnie ojciec. — Włóczęsz się z tą małą... Jolą... czy jak jej tam — powiedział.

— I cóż z tego? — spytałem.

— Inżynier nie wydaje się być z tego zadowolony. Widziałem go jak wypatrywał was na wodzie. Zdaje się, że kazał was szukać.

— Jaki inżynier?

— No, ojciec tej dziewczyny.

— Nie wiedziałem, że ojciec Joli jest inżynierem. Nie zastanawiałem się zresztą nad tym, czym jest jej ojciec. W ogóle uświadamiałem sobie dopiero teraz, jak mało wiem

plaszczynę wody, pac... pac... pac... Kajak zaczął się kołysać.

— Wywróćisz kajak — powiedziałem.

— Udała, że nie słyszy.

— Gdzie popłyniesz — spytała po chwili.

— Dokąd chcesz.

— Chcę do brzegu — powiedziała i przestała uderzać dłonią o wodę. Wrócił mi w milczeniu na przystań.

Wieczorem poszedłem na molo z moim tranzystorem. Uruchomiłem go po raz ostatni. Wygrywał jakąś skoczną melodię. Usiadłem na deskach pomostu, zwanego tutaj szumnie molo. Zapadał zmierzch. Wtedy zobaczyłem Marysię. Szła wolniutko, niepewnie, jakby namyślając się czy nie skrócić jeszcze w bok. Wreszcie weszła na molo. Obcasiki jej pantofelków stuknęły coraz bliżej.

— Dobry wieczór! — powiedziała.

— Dobry wieczór!

Podąłem jej tranzystor. Wzięła go w obie ręce delikatnie, niemal pieszczotliwie. Przycisnęła muzykę.

— Wiesz — odezwała się do mnie — wiesz... przez wiele lat marzyłam, żeby mieć tranzystorowe radio.

— Nie przesadzajmy — powiedziałem. — Przez wiele lat? Przecież nie tak dawno w ogóle są radia na tranzystorach. No, ale teraz będziesz miała to, o czym marzyłaś. Udało ci się. Bo ja...

Zrezygnowałem natychmiast z tłumaczenia jej ile trudu kosztowało mnie kupienie „Guliwera”. Co ona z tego rozumie? Nadarzyła się jej okazja, więc skorzystała. Posłużyła się szantażem, ale czy ona w ogóle mogła sobie zdawać sprawę z tego co czyni?

Przez dłuższą chwilę bawiła się aparatem. Zmieniała stacje, kręciła potencjometrem. Wreszcie zostawiła na jakiejś melodii, która najbardziej jej odpowiadała, bo przestała kręcić koleżkami.

— Dajesz mi go?

— No, przecież wiesz. Tak jak zażądałaś.

— Dajesz ze względu na Jolę? Tak? — spytała, a mnie zaskoczyło to jej pytanie.

— Nno, tak, przecież Jola powiedziała.

— Jola powiedziała... Jola kazała, Jola zażądała... Jola i Jola. Nie. Nie Jola, Diana, rzymska bogini Diana — zaśmiała się teraz ironicznie.

— Skąd wiesz? Przecież nikomu tego nie mówiłem oprócz...

— Oprócz jej samej. Więc ci powiem. Ona chwiliła się, że tak ją nazywasz. I że musi sobie kupić łuk. Bo Diana musi mieć łuk.

— Żartowała chyba.

— Nie wiem. Może i żartowała. A może i nie.

Przymilkła na chwilę. Muzyka z tranzystora zrobiła się głośniejsza, po czym znowu się przyciszyła.

— Ja wcale nie chciałam od ciebie tranzystora — nieoczekiwanie powiedziała Marysia. — Nie od ciebie. Od niej. Ona ma. Drogą. Kupił jej rodzice na imieniny. Tylko ona nie chce mi go dać. Nawet na minutkę, nawet potrzymać. Sama też go nie słucha. Trzyma w walizce. Wyjmuje go tylko wtedy, gdy przyjeżdża do niej narzeczony. Idą wtedy razem na spacer, a Jola gra na tym tranzystorze.

— Narzeczony? Jola ma narzeczonego? — spytałem zdziwiony.

— No, tak. Nie wiedziałeś? Nie ci nie mówiła? To syn jakiegoś ważnego dyrektora.

— Ten wymoczek, co tu był któregoś niedzieli, to narzeczony Joli?

— Tak — powiedziała cicho i roześmiała się.

Musiła znowu ruszyć koleżkami, bo muzyka stała się głośniejsza, a ona mówiła teraz głośno, jakby na tle tej rytmicznej muzyki mocnego uderzenia, a ta muzyka stanowiła jakieś niepokojące tło.

— Ja ci muszę wytłumaczyć, ja ci muszę wytłumaczyć... Ja... ja nie chcę twego tranzystora!

— Więc po co tu przysłałaś? — krzyknąłem.

Muzyka zamilkła niemal zupełnie. Z pudełka dobywało się tylko brzęczenie, nie głośniejsze niż szmer wody Zalewu.

— Oh! Jacyż wy mężczyźni jesteście niedomyślni! — powiedziała tonem dojrzałej kobiety. Rozśmieszycie mnie to.

— Śmiesz się. Tak. Ze mnie się śmiesz. Z niej nikt się nie śmieje. Mnie nikt nie nazywa Dianą, boginią. Jola! Jola! Ona jest najładniejsza, najmądrzejsza. To ją stawiają mi za wzór. A wiesz dlaczego? Bo moi rodzice ubzdurali sobie, że po Joli ma być chłopiec. A czy to moja wina, że urodziłam się dziewczynką? Nawet ładnego imienia nie potrafili mi wymyślić.

— Czemu? Maria to bardzo ładne imię.

— Ale takie staroświeckie. Mam koleżanki Mariolki, Iwonki, Kalinki, Violetty, Sławki, Mirki, Aldony, Dagmary...

— Jakaż ona dziecinna — pomyślałem.

W tranzystorze, który znowu zaczął głośno grać, jakaś Violetta przestała śpiewać, z kolei miała śpiewać jakaś Mirka.

— Czy wiesz — mówiła Marysia — że ona nie wiedziała długi czas jak ty masz na imię? To ja jej powiedziałam. Słyszałam kiedyś jak rozmawiałaś z twoim ojcem. Ale ty, na mnie nigdy nawet nie chciałaś dużej popatrzyć. Tobie się Jola podobała...

Rozplakała się. Żeby Marysię pocieszyć, objąłem ją ramieniem i pogłaskałem drugą ręką po miękkich włosach. Przytuliła mokrą buzię do mego ramienia. Uspokajała się powoli.

— Już pójdę — powiedziała. Podała mi dłoń jeszcze niemal dziecinna, malutka. A potem szła po deskach mola ku brzegowi. Coraz dalej stuknęły obcasiki jej pantofelków.

— Marysiu! Zabierz swój tranzystor! — zawołałem.

Nie odwróciła się.

Wieczorną ciszę lipcowej nocy i szmer lekko falującej wody rozdzierał mój „Guliwer” na wszystkich obojętny, hałaśliwy i potyskujący w świetle księżyca, którego tarza wypływała z wolna nad wody Zalewu.

WYPRAWA do romantycznego czasu

U źródeł prawdziwych dzieł literackich znajduje się urzeczanie autora przedmiotem, sytuacją, bohaterem czy epoką historyczną. Trzeba zagłębić się w dany czas i przestrzeń obdarzoną umiętnością kojarzenia i wszystkim kimś zmysłami, poznać, zachwycić się, by potem z dystansem uczuciowym ująć je tak słowem, aby nadać im piętno trwałości — ocalić od zapomnienia. W życie młodzieży szkolnej lat 1858–1863 wnika swoim docieklwym piórem Tadeusz Chrościelewski w swojej ostatniej, a trzeciej w jego dorobku powieści.

„Szkarsiatna godzina” jest książką nowatorską pomimo wątku fabularnego ujętego w sposób dość tradycyjny. Nowatorstwo jej tkwi przede wszystkim w warstwie językowej, dzięki której przeszłość zyskała rzadko spotykane ujęcie kolorystyczne w tego typu beletrystyce. Szczególna sympatia pisarza do życia obyczajowego i politycznego połowy XIX stulecia znalazła swój artystyczny wyraz w tej powieści. Zaznaczyć trzeba, że zadanie Chrościelewskiego było dość trudne, ponieważ po temat ów sięgali w swoich dziełach autobiograficznych W. Skiba, S. Zeromski czy W. Gomułki. Autorowi „Szkarsiatnej godziny” pozostała jedynie penetracja literatury historycznej (monografia M. Rawity Witanowskiego, „Wspomnienia powstańca” Z. Chądzyńskiego i wiele innych) i materiałów archiwalnych. Fakty stanowią jedynie szkielec, a przecież trzeba temu nadać kształt cielesny. Z zadania tego nader zniechęcał wywiad się autor przerzucając pomost między heurystyką historyczną a fikcją literacką. W tym celu główne partie fabularne poprzedzone są parabolą. W parabolach następuje konfrontacja rzeczywistości z przeszłością. Czynione jest to nie w celu nadania książce historycznej tendencji aluzyjnych, lecz chodzi o wywołanie oblicza czasu minionego spod maski teraźniejszości.

Bohater „Szkarsiatnej godziny”, Albert Chrościelewski (nazwisko nie jest ujawnione w powieści; można jednak przypuszczać, że chodzi tu o dziadka pisarza, który to poświęcił pamięci swojego walecznego przodka wiersz

„Pielgrzym w Nowej Słupie”) jest synem burmistrza Szczercowa, a następnie Łęczycy, legitymującego się pochodzeniem szlacheckim. Spotykamy się z typowymi przemianami zachodzącymi w ubiegłym stuleciu. Jeszcze nad stancyjnym łóżkiem młodzieńca Alberta widnieją herb rodowy, a uczuciami jest już po stronie procesu demokratyzacji życia społecznego. Pochodzenie bohatera rzutuje na jego przyszłość. Jest obciążony tradycją zwłaszcza w dziedzinie obyczajów. Wychowanie patriotyczne w domu burmistrza odgrywa rolę drugoplanową; sprawy odczytane są kamufłowane świadomości, gdyż manifestacja uczuć narodowych mogłaby zagrozić poważnie egzystencji rodziny. Maskowanie swej osobowości (chodzi tu o ojca Alberta, Pawła) prowadzi do zatracenia poczucia rzeczywistości politycznej. Przemiany zachodzące w psychice burmistrza są plastycznym odzwierciedleniem skutków politycznej administracji carskiej, wyzbytej wszelkiego człowieczeństwa. Ojciec nie jest jednak zwornikiem tendencji przewodnich autora. Sceny rodzajowe, występujące zwłaszcza w początkowych partiach, stanowią jedynie sztafaż powieści.

„Szkarsiatna godzina” jest książką o romantycznym pokoleniu „młodzieży nadpokoziowej”, która konspiracyjnie wykarmiona na szczytnych hasłach naszych wieszczów traktuje romantyzm w literaturze nie jako wzniośle piękno, lecz pragnie jego esencje ideową wcielić w życie. Stopniowe kształtowanie się postaw patriotycznych jest pokazane w całej gamie uczuć ludzkich — wahań, nadziei, załamania i konkretnej już walki na polach bitew. Życie szkolne przedstawia autor z dwóch stron — uczniowie w oczach nauczycieli i odwrotnie. Interesujące są po stawy wychowawców, którzy wieksość wykazuje dezorientację względnie dwulicowość polegającą na okazywaniu zewnętrznego szacunku dla rosyjskiej władzy i zarazem na patrzeniu przez palce na buntowniczą działalność młodzieży. Pisarz bierze na nią nie z pozycji dojrzałego człowieka, lecz po prostu ukazuje młodzieńców takimi, jakimi są. Urzeka nas rozbijający nieraz in-

fantyzm chłopców, ich wielkie marzenia i potknięcia na małych przeszkodach, ich pierwsza miłość. U Alberta miłość do ojczyzny rodzi się wespół z sympatią do patriotycznie nastawionej pensjonariuszki. Z tego związku uczuć jakże jeszcze ukrywano, niewinnego, białe blask szlachetności i błogiego rozczulenia nad ich nieskazitelnymi postawami. Następuje też i konflikt: rodzina — ojczyzna. Albert waha się czy jechać na manifestację do Warszawy, czy też iść pomóc ojcu, uważanemu przez mieszkańców Łęczycy za sługę systemu carskiego. Na skutek tych wątpliwości zostaje bohater przekreślony w pewnym sposobie wśród kolegów. Rehabilituje się — na polu bitwy.

W kreśleniu postaw bohaterów powieści posługuje się ściąle mistrzowskimi zabiegami stylizacyjnymi. Burmistrz używa super urzędowego języka, a żargon uczniowski jest doskonale przez autora podstępny. Oko czytelnika przykuwa dokładna znajomość tamtej epoki i stąd lektura „Szkarsiatnej godziny” jest dość długotrwała, gdyż naprawdę można deklotować się każdym zdaniem tej książki przepełnionej subtelny humorem, uroczą historią romantyzmu wędrującego ścieżkami prowincji. Wyprowadza nas złoć runo minionej epoki w padła Tadeuszowi Chrościelewskiemu po trzydziestu przeszło latach tworzenia powieści nadzwyczaj pięknie i szczęśliwie.

*) Tadeusz Chrościelewski, *Szkarsiatna godzina*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968, str. 430.

ADAM NONAS

Księga wzruszeniem i uczuciem pisana

„Dzieje szkoły” to książka poświęcona 50-leciu byłego Gimnazjum Miejskiego, którego chlubnych tradycji kontynuatorem jest obecne III Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki, czyli słynna „Trójka”. Prawdziwe wzruszenie i głęboka miłość do „swojej” „starej” budy przebiega z kart tej książki. Z tymi samymi uczuciami czytałem zawarte w niej wspomnienia i chyba nie tylko dlatego, że zaliczam się również do grona absolwentów tej szkoły. Jest przecież wiele znakomych szkół, ale bodaj żadna nie została uhonorowana specjalną monografią. Jeden z najznakomitszych wychowanków Gimnazjum Miejskiego, Przewodniczący Rady Państwa, Marszałek Polski — Marian Spychalski tak pisze w szkicu zatytułowanym „Jedna jedyna” — „Jedną z wielu”. „A jednak szkoła ta zasłużyła sobie na miano „jednej jedyniej” — pod wieloma względami”. Podkreśla to jeden moment bardzo istotny — oto stworzyła ona w okresie dwudziestolecia międzywojennego szansę

zdobycia wykształcenia dzieciom łódzkiego proletariatu, dla których niedostępne były elitarne prywatne szkoły. Zawsze w czołówce pod względem metod nauczania i wychowania — tak bym w generalnym skrócie ujął działalność szkoły w ciągu 50-lecia jej istnienia.

„Dzieje szkoły” to tytuł dobry, lecz jakby nieco mylący. Już pierwsze zdanie przedmowy głosi: Księga, poświęcona pięćdziesięcioleciu Gimnazjum Miejskiego w Łodzi, nie jest historią tej szkoły, nie jest również zbiorem wspomnień jej wychowanków. Jej autorzy postanowili przed sobą zadanie scharakteryzowania — w formie fragmentarycznych odcisków, szkiców i materiałów — placówki wychowawczej, która w dziejach oświaty łódzkiej odegrała wybitną rolę” (podkreślenie moje — A. N.).

I wybrano na pewno służąc na metodę, pozwalającą uniknąć laurkowej sztampy. Otrzymaliśmy starannie przygotowany i bogaty treściowo tom, podzielony na pięć części: „Szkoła i jej twórcy”, „Życie szkoły, przyczynki i wspomnienia”, „Stowarzyszenia i organizacje”, „Kontynuacja, Szkoła w Polsce Ludowej”, „Dokumenty”. Część pierwsza przywołuje sylwetki dwóch najwybitniejszych pedagogów Gimnazjum Miejskiego — dyrektora Leona Starkiewicza i Zygmunta Lorentza. Osobiście odczułem jednak brak szkicu poświęconego Zygmunutowi Hajkowskiemu. Może jest to tylko wyraz szczególnej mojej sympatii jako filologa do tego znakomitego polonisty, ale wydaje mi się, że w pełni zasłużył na miano „trzeciego wielkiego” obok L. Starkiewicza i Z. Lorentza. Posiadam w swym księgozbiore jeden dość niezwykły tom. Na „tronie tytułowej napis: W. Heinrich „Psychologia — wykłady w półroczu letnim r. szkoln. 1911/12, Kraków 1912”. Obok autografu Z. Hajkowskiego, a pod nim dopisek: „Wydano nakładem kółka filozoficznego U.U.J. z notatką jednego ze słuchaczy Prof. Dr. Wład. Heinricha”. Nie byłby może w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że cała książka ... pisana jest ręcznie, 172 strony! Proszę znaleźć przykład podobnej pracowitości i umiłowania nauki.

Część druga akcentuje niezwykle żywą działalność organizacyjną uczniów w Gimnazjum. Jeden z absolwentów zatytułował swe wspomnienie następująco: „Szkoła samorządności i samopomocy”. Wydaje mi się, że na szczególną uwagę zasługuje tu działalność sek-

cji historyczno-literackiej, wspomnianej w szkicu Mariana Piechala. Tam przecież zrodziła się pierwsza w naszym mieście grupa poetycka „Meteor”. Ukonstytuowała się co prawda już w Warszawie, ale myśli powstała w murach szkoły. I chyba w zbyt małym stopniu podkreślono rolę takich poetów i pisarzy jak M. Piechal, G. Timofiejew czy W. Bieńkowski w stworzeniu łódzkiej tradycji literackiej. Pozostałe trzy części książki są o wiele uboższe i uzupełniają tylko obraz działalności Gimnazjum w ciągu półwiecza jego istnienia. Komitetowi Redakcyjnemu książki wodniczył Mieczysław Wroniakowski, absolwent szkoły, no wojnie jej dyrektor, potem kurator Okręgu Szkolnego Łódzkiego. Nikt chyba nie był bardziej predestynowany do roli redaktora. Wywiał się też z niej bez zarzutu. Książka otrzymała staranna oprawę graficzną, ładną okładkę i obwolutę (na szarym tle sylwetą gmachu gimnazjum). Wszystko jest oczywiście dziełem absolwenta szkoły Juliusza Mieszkowskiego.

PZWS, wydawca tomu, dokonał dobrej roboty, utrwalając ku pamięci potomnych ważny okres dziejów łódzkiego szkolnictwa. I tu nasuwa mi się refleksja: czy wystarczy tylko utrwalenie na papierze? Czy nie udałoby się właśnie przy III LO stworzyć czegoś na kształt muzeum łódzkiego szkolnictwa? Na pewno mnóstwo pamiątek po łódzkich pedagogach znajduje się w wielu domach, warto chyba je uratować, by nie zaginęły bezpowrotnie. Osobiście jestem głęboko przekonany o potrzebie istnienia w Łodzi takiej placówki.

I jeszcze sprawa nakładu: 2 tys. egz. Wydaje się to dość dziwne, biorąc pod uwagę, że tylko po wojnie opuściło mury szkoły około 1.600 absolwentów. Gdy dodamy do tego przedwojenne roczniki, to liczba ta przekroczy na pewno 2 tys. Książka nie poleży więc długo w księgarniach łódzkiego „Domu Książki”. A czy nie należało by wprowadzić jej jako lektury w szkołach? Wzory są na pewno dobre, skoro przeciętnie 90 proc. absolwentów tego liceum dostaje się na studia, a bywają i 100 proc. roczniki. Może analiza metod pracy pedagogów tej szkoły pozwoli odkryć tajemnicę, dlaczego przy wysoce kwalifikowanej kadry pedagogicznej, Łódź pod względem sprawności znajduje się dopiero na 20 miejscu w kraju? „Dzieje szkoły” są więc niezwykle cenną i na czasie pozycją, warta prze studiowania nie tylko przez pedagogów.

spektakle tygodnia

	spektakl	widzów	proc
TEATR WIELKI	„Kniaź Igor”	1	1150 85
	„Zemsta nietoperza”	1	1260 100
	„Straszny dwór”	1	1193 97
	„Pan Twardowski”	1	1260 100
	„Dama pikawa”	1	1260 100
	„Jezioro łabędzie”	1	1260 100
POWSZECHNY	„Baba-Dziwo”	2	1000 80
	„Kawior i kaszanka”	1	660 100
	„Radziwiłł, Panie Kochanku”	1	660 100
NOWY	„Lato”	3	1050 50
	„Czerwone pantofelki”	4	2800 100
	„Pierścień wielkiej damy”	2	1260 80
IM. JARACZA	„Każdy kocha Opale”	2	1260 100
	„Poskromienie złośnicy”	3	1842 97
7.15	„Stendhal i S-ka”	3	1065 85
OPERETKA	„Czerwony kapturek”	6	6068 90
	„Okoliczność łagodzka”	3	405 50
TZL	„Kaprysy Marianny”	4	613 55

książkami

KSIEGA — DOKUMENT

Tytuł dość pretensjonalny — „Podróże w głąb czasu” a książka opasła. Treści tu jednak kryją się nie byle jakie — to jest księga-dokument. Literacki dokument i dokument czasu, przemian; panorama ogromnego Kraju Rad ogromnego w czasie i przestrzeni. Ten ponad 600-stronicowy tom jest antologią radzieckiego reportażu, zawierający publikacje blisko czterdziestu, właśnie. Bo nie reportaż, lecz przede wszystkim dokument. W antologii mamy prace Szolochowa, Jesienina, Fiedina i Erenburga, Simonowa i Majakowskiego, Gajdara i Pasternaka, Polewoja, Szklowskiego... Wszyscy oni pisali kiedyś dla potrzeb doraźnej chwili reportaż z wielkich budów, wsi kolchozowych, wojen-

nych dróg, dalekich krajów Kraju Rad. Siła ich talentu, owe doraźne reporterskie notatki stały się próbą czasu i dziś stanowią ozdobę reprezentatywnego tomu radzieckiego reportażu.

Ale jest w tej książce — niezależnie od kilku wielkich nazwisk — ogromna złożoność tematyczna, jest przegląd spraw i problemów, jakie nurtowały społeczeństwo Związku Radzieckiego na przestrzeni półwiecza. Dlatego piszę, że jest to książka-dokument. Dzięki tej książce możemy oglądać budowę Magnitogorska i Dnieprostroju, możemy odwiedzić Leningrad w dniach blokady, możemy być na pierwszych liniach frontu ostatniej wojny, oglądać Turkmeni i Kazań, Donbas i Riazan.

Nie jest to książka, którą można pochłoniąć jednym tchem. Nie pozwala na to ani różnorodność literackiej formy, ani mozaika spraw i tematów. Ale dla każdego, kto chce o Związku Radzieckim wiedzieć więcej niż może wyczytać w faktograficznych publikacjach — jest to książka niezbędna.

J.W.

„Podróże w głąb czasu” — Antologia radzieckiego reportażu. Opracował Adam Galis. Książka i Wiedza 1968, cena 55 zł.

BUDAPESTZESKIE ABC

Z popularnej serii „ABC” Londyńskie, Paryskie, Nowojorskie itp.) najbardziej urzekła mnie pozycja najnowsza — Tadeusza Olszańskiego „Budapeszteńskie ABC”. Myślę, że ta właśnie książka w sposób najpełniejszy realizuje założenia serii wydawniczej prezentującej stolice i kraje świata. Na Węgrzech jeździliśmy często i tyśkami a wciąż jakże mało wiemy o tym kraju. Poza tym, że Węgry-Polska dwa bratanki, że pa-

tryka, czardasze i hotel Gerlerta — przeciętny Polak o Węgrzech i Węgrzech wie niesłychanie mało. Tadeusz Olszański zdaje sobie z tego sprawę i daje nam kompendium podstawowej wiedzy o tym kraju.

„Budapeszteńskie ABC” jest niesłychanie rzadkim w naszej podróźniczej literaturze — baedekerem, napisanym pięknie i ciekawie, łączącym zalety dobrego reportażu z „przewodnikiem” informacyjnym. W książce Olszańskiego mamy adresy ciekawszych obiektów i zarys obyczajów, przepisy kulinarne i historię narodu, językowe porady (plus słowniczek) i syntezę problemów politycznych. Wszystko to znakomicie przyrządzone z domieszką dowcipu i anegdoty, z lekkością, swadą i — oczywiście — głęboką znajomością tematu. Słowem smakowite węgierkie leśco. Co to znaczy? Zatrzyjcie na stronę 138.

Taką książkę o Węgrzech i Budapeszczu mógł napisać tylko ktoś kto w tym kraju był dłużej niż wynosił pobyt na placówce. Tadeusz Olszański był tu dłużej. Chodził przecież do

szkoły w Balatonbogar leszcze w roku 1943.

J.W.

Tadeusz Olszański „Budapeszteńskie ABC” Iskry — 1968, cena 18 zł.

„OPOWIEŚCI Z RÓŻNYCH DRÓG”

Na długie jesienne wieczory otrzymaliśmy dobrą lekturę. Są nią opowiadania turystyczne zebrane w tomie pt. „Opowieści z różnych dróg”. Wakacje skończone, pogoda coraz podlegsza i warto do swoich letnich wspomnień dorzucić garść przeżytych utraconych przez autorów opowiadań. Jest ich przeszło trzydzieści, a zostały wyłonione w konkursach organizowanych od paru lat przez redakcję tygodnika „Światowid”. Dlatego obok nazwisk znanych pisarzy spotykamy nazwiska „amatorów”. Już podtytuł wyraźnie określa tematykę opowiadań, ich wspólnym mianownikiem jest bliski kontakt człowieka z przyrodą, oczarowanie polskim krajobrazem, bez względu na to, czy autor opisuje skaliste Tatry, wzburzone Bałtyk

czy też polanę w starym lesie. Przyroda wybija się na pierwszy plan we wszystkich opowieściach, jest głównym bohaterem, który ma wyraźnie określone zadanie — zaurczyć swoją krasą czytelnika.

Oczywiście nie wszystkim autorom to się udało, nie wszystkie opowiadania są na jednakowo dobrym poziomie. Obok wyróżniających się, jak choćby „Jesienna wyprawa” Marka Nowakowskiego, czy niebanalne „Domcia i morze” Teresy Lubkiewicz i kilku innych, znajduje się kilka słabszych, mniej udanych. Ale i w tych najważniejsze jest zafascynowanie przyrodą ich autorów.

Warto zapoznać się z „Opowieściami z różnych dróg”. Dla tych, którzy już odkryli piękno ojczyzny, ziem opowiadania stwarzają szansę konfrontacji z własnymi przeżyciami. A ci, którzy nie umieją patrzeć na przyrodę, mogą się z nich tego uczyć.

B.M.

„Opowieści z różnych dróg” — Wydawnictwo „Sport i Turystyka” 1968, str. 209, cena 18 zł.

„Poskromienie złośnicy”

Jeden z moich znajomych po spektaklu teatru Jaracza na scenie „Rozmaitości” powiedział: Szekspir to jednak klasa!

Nie odkrywcze, nawet nie nowe stwierdzenie, a jednak daje wiele do myślenia, zwłaszcza, że znajomy oglądał „Poskromienie złośnicy” przez pryzmat doświadczeń człowieka XX w. a Szekspir za warł w komedii doświadczenia człowieka XVI w.

„Poskromienie złośnicy” to przede wszystkim wyborna zabawa, chwilami zatracająca romantyzmem, chwilami bliska commedii dell'arte, jednakże realizm psychologiczny zawarty w tej komedii decyduje o jej uwspółcześnieniu się przez blisko cztery wieki.

Układ złośnica-poskromiciel nie jest stereotypem. Zna my wiele innych modeli, np.: złośnica — wyrozumiały pedagog, złośnica — zrezygnowany milczek, złośnica-uciekier, złośnica-opój, złośnica-bierne narzędzie itd. itd.

Złośnica-złośnik, to już kryminalna sprawa. Wbrew pozorom wszystkie wymienione wyżej układy są antypedagogiczne i antyhumanitarne. Zarówno żartobliwość powyższego, jak i żartobliwość „Poskromienia złośnicy”, nie umniejsza genialnej przenikliwości psychologicznej Szekspira w przedmiocie wybranej metody założenia trwałych podwalin pod wspólne życie normalnego osobnika ze złośnicą.

Niestety, szekspirowskie metody wychowawcze wymagają dużych zasobów materialnych, czasowych i przestrzennych.

Normalny osobnik żyjący w XX w. nie może głodzić swej żony, choćby skutki takiej terapii okazały się jedynie zbawienne dla jej duszy i ciała. Równocześnie wyklucza wszelką przemoc fizyczną, zaś wobec złośnictwa i szantażu psychicznego człowiek postawiony jest sam sobie w konfliktach picli. Genialna diagnoza Szekspira nie straciła na swym blasku, terapia jednak, ze względu na łatwość przedawkowania, wydaje się być nie na czasie. Ta sprzeczność, ta niemożność bezpośredniego przekładania sztuki na życie (jakkolwiek z życia się rodzi) stanowi o tej paradoksalnym uroku. Komiczna umowność a zarazem realizm „Poskromie-

nia złośnicy” daje coś w rodzaju zdrowego łaknienia jasnych diagnoz i skutecznych terapii.

Jaki cel przyświeca mężczyźnie poskramiającemu złośnicę? Na to pytanie dał odpowiedź nie tylko Szekspir, dala ją również Alicja Krawczykówna. Gra była warta dużego konia z rzędem. Przez „skórę wyczuwalną” zalety Katarzyny mogły zachęcić do męskiego działania nawet współczesnego młodzieńca, nie mającego w perspektywie brzączącej wdzięku teścia. Wdzięk Katarzyny, zręczne przemycanie wśród grzmotów i piorunów wściekłości sprawią, że w oczach współczesnego widza Patrycy, to nie tylko łowca posagu. Patrycy może być uważany za łowcę trudnego szczęścia. Henryk Józwiak przywołał na myśl swą grę, pogromcę lwów. I to jest dobrze. Bawiem podporządkować sobie zwierzę dzikie a wspaniałe, to rękojmia całkowitej uległości i gwarancja pełnego partnerstwa, a taka jest pointa szekspirowskiej zabawy psychologicznej. Henryk Józwiak jest swobodny, a jego werwa nie jest cyrkowa, a taka często się zdarza w tego typu komediowych rolach.

Druga córka Baptysty Bianca również znalazła w Marii Wilhelm trafne wcielenie. Wszystkie mutacje słodkiej uległości odegrała młoda artystka konsekwentnie, by w finale ukazać jak zdradliwe są piernaty uległości, w których pływają się męska próżność. Mężczyzna stając się zwycięzcą „z bożej łaski” popada w pychę, która zaślepiła i czyni go bezradnym dziecinielem w rękach szczęścia, któremu na imię na przykład Blanka. Krzysztof Różycki — Lucencjusz nieścisł się w tym odczytaniu, jak sądzi, założenia gwarantujących pyrrusowe zwycięstwo. I znów ukłon w kierunku przenikliwości Szekspira, na który znalazł równowagę na szali szczęścia uświadomienie dostrzec małe wahnięcia „języczka” miłości.

Madry był zaiste Baptysta, że zaufał Patrycyemu, dając mu Katarzynę i Lucencjusza, oddając go Bianca, młodszą swą córkę. Handlował głową ten bogaty obywatel Padwy, którego grał z godnością i taktem Antoni Lelek.

Dobrze wywiązał się ze swego zadania Blondello (Freneusz Kaskiewicz) udając swe

go pana Lucencjusza. Elegancja gestu, głosu i wczucie się w sytuację, to walory, które mogły ująć nie tylko Baptystę, ojca Blanki — również widownię. Służący Grumio (Waldemar Starczyński) bardzo plastyczny, służący Tranio (Janusz Krawczyk) i Kurtys (Zygmunt Urbański).

Jak zwykle w takich komediach wszystko kończy się dobrze.

Na czas zjawia się Wincencjusz, by poręczyć swoim majątkiem miłość syna Lucencjusza. Sprawnie to załatwia Jerzy Cwikliński, z taką łatwością Hortensjusz ubiegający się o rękę łagodnej i pięknej Blanki (Andrzej Głoskowski) znajduje pocieszenie u wdowy Pani Doroty (Alicja Ciehecka). Drugi odwołany konkurent Gremio (Józef

Łodyński) też odnajduje szczęście w stanie wolnym. Baka-larza (Marek Sobczyk) nikt nie oblił za jego mistyfikacje, a służącego (Ludwik Kasendra) za wierną służbę.

Reżyser Olga Koszutska zadbała o to, by w ogólnej, żywiołowej zabawie nie zagubić celnych spostrzeżeń, uwag i refleksji autora.

Odwspółcześniła współczesnych barwnymi kostiumami Maria Horbaczewska.

Niezawodny Henri Poulain w prosty i pomysłowy sposób poradził sobie z przestrzenią (Padwa) i czasem (XVI wiek).

William Szekspir — „Poskromienie złośnicy”. Przekład: Józef Paskowski. Teatr Jaracza, Scena Rozmaitości.



Patrycy — Henryk Józwiak i Katarzyna — Alicja Krawczykówna.

Fot. Fr. Myszowski

OBIEKTYW

MEXICO 68

W chwili, gdy te słowa dotrą do czytelników, emocje olimpijskie będziemy mieli za sobą. Relacje z gigantycznej imprezy przez kilkanaście dni pasjonowały miliony miłośników. I tych wernych kibiców i tych, których zainteresowanie sportem rozbudziła dopiero Olimpiada. Jest bowiem w tych igryskach siła wręcz magne-tyczna, wobec której mało kto może pozostać obojętnym.

Nie były przeszkodą nawet niewygodne godziny transmisji. Najzagorzalsi kibice nie cofali się przed wyrzeczeniami, oglądali sprawozdania olimpijskie od początku do końca kosztem snu i wypoczynku. Cokolwiek powiedziałoby się o niewygodach z tym związanych, sam fakt, że igryska meksykańskie — rozgrywane za oceanem w odległości ponad dziesięciu tysięcy kilometrów od Polski — mogliśmy oglądać nie przekraczając progę własnych mieszkanki, jest przedmiotem nieustającej fascynacji osiągnięciami współczesnej techniki.

W dodatku połączenie satelitarne działające w zasadzie bez poważniejszych zakłóceń, to znaczy zakłóceń tych nie było więcej niż przy normalnych emisjach programu. W stosunku do Olimpiady w Tokio w 1964 roku odnotować należy poważny postęp. Umowy Interwizji i Eurowizji z Meksykańskim Komitetem Olimpijskim umożliwiły nam śledzenie w formie bezpośredniej lub w zapisie na taśmie ampeksu poważnej części zmagania młodzieży sportowej całego świata.

Bodaj najsilniejsze wrażenie wywarła transmisja z uroczystości otwarcia Igrzysk. Wydział Kopalnisk pisał w „Życiu Warszawy”, że rytuał z tym związany jest zmodyfikowaną formą uroczystości pogańskich, obmyślonej przez człowieka, z którego inicjatywy w 1896 roku zwołano po pierwsze Igrzyska Olimpijskie. Człowiekiem tym był Francuz, baron Pierre de Coubertin. Trzeba powiedzieć, że rytuał otwarcia pomysły jest znakomicie, zawiera w sobie piękną symbolikę, która niezmiennie wzrusza.

Sylwetka Enriquetty Basilio, dwunastoletniej zawodniczki meksykańskiej zapalającej znicze olimpijskie, była na tle rozświetlonego tłumy wręcz urzekająca. Zaprawienie ceremonii Olimpiady malowniczym folklorem Indian meksykańskich, potomków Azteków, tworzyło niepojętą nastrój.

A potem nastąpiły dni zmagania, potwierdzające raz jeszcze sportowy, braterski duch towarzyszący Olimpiadzie. Zaczęła się przy tym wyraźnie zmieniać układ sił w sporcie, która jest odbiciem zmiany układu sił w świecie, w ogóle. Przedstawiciele trzeciego świata podkreślili swymi wynikami, że są równorzędni, a czasem gorzej, partnerami dla reprezentantów krajów o dawnych tradycjach sportowych.

My Polacy, przeżyliśmy w czasie Igrzysk wzloty i upadki. Tworzyliśmy tu w kraju ściśle zespółone z naszą ekipą olimpijską zaplecze. Trzeba stwierdzić, że do tej swoistej narodowej integracji w znacznej mierze przyczyniła się telewizja.

A teraz nare uwag na temat naszej sprawozdawczości telewizyjnej z Olimpiady. Redakcja Sportowa TV nigdy jeszcze chy-

ba nie przygotowywała się tak starannie do swoich wzmocnionych zadań, jak tym razem. Przed Igrzyskami zapoznano nas dokładnie z sytuacją i prognozą, staliśmy się świadkami reprezentacji we wszystkich dyscyplinach, w których braliśmy udział. Na czas transmisji z Meksyku uruchomiono specjalne Studio Olimpijskie.

Na ogół funkcjonowanie Studia było nienaganne. Zgromadzone wszystkie dostępne środki, by przyspieszyć docieranie wiadomości agencyjnych, wykazano wiele pomysłów w urozmaicaniu kronik olimpijskich, utrzymywano stałe bezpośrednie kontakty ze sprawozdawcami w Meksyku. Telewizowie zareagowali na te wysiłki bardzo żywo. Kontaktowanie się ze Studiem Olimpijskim, przekazywanie uwag, poprawek, słów uznania dla naszych zawodników z prośbą o przekazanie ich do wioski olimpijskiej — to nie tylko formy tej pulsującej życiem wiezi, jaka wytworzyła się między odbiorcami programu i sprawozdawcami sportowymi telewizji.

Dla ich niesłusznej pracy mamy chyba wszyscy wiele podziwu. Redaktorzy Rzeszot i Zemanowski, odrzucili normalny w sprawozdawczości obiektywizm i całym swym zachowaniem manifestowali głęboką zaangażowanie emocjonalne. Imponujące było również nagromadzenie niezbyt wielu informacji porównawczych, którymi obalaliśmy jak z rekawu. I to z nami, nie z kartki.

Gorzej jest z poziomem wiedzy ogólnej, pozasportowej naszych sprawozdawców. To gąfy były na porządku dziennym. Zła znajomość obcych języków (wbrew udawaniu znakomitego ich opanowania), niedostateczny zasób wiedzy z różnych dziedzin, o które sprawozdawcy zmuszeni byli się ocierać (dobrze, że telewizjowie wychwytywali i temu podobne mankamenty w przysłowiowy sposób rangę pracy redaktorów sportowych.

Wydaje się, że telewizja powinna podjąć w sposób staranny długofalowe wysiłki zmierzające do podniesienia poziomu kadry sprawozdawców sportowych. Ta kategoria dziennikarstwa telewizyjnego nie może być traktowana na zasadzie zamkniętego klanu. Wiedzy sportowej powinien towarzyszyć ogólny wysoki poziom intelektualny sprawozdawców.

Ale te kilka krytycznych uwag nie może przesłonić ogólnej satysfakcji, jakiej dostarczył blok programowy opatrzony hasłem: MEXICO 68.

Władysław Gronow

P.S. W dniu 23 października premier J. Cyrankiewicz dokonał otwarcia krakowskiego Telecentrum na Krzemionkach. Kraków, który nie dysponował dotąd bazą telewizyjną na miarę swych możliwości twórczych i słusznych aspiracji, uzyskał wspaniałe warunki dla ich rozwinięcia. Sądzę, że zyskają na tym wszyscy telewizjowicze w kraju. Dlatego witamy uroczomie Krzemionek ze szczerą radością. W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Ponieważ przed nami już listopad, a co za tym idzie, tradycyjny już od lat przegląd starych i nowych filmów radzieckich, pragniemy dziś polecić Czytelnikom dwa bardzo dobre filmy, które w listopadowym przeglądzie będziemy mieli okazję obejrzeć.

Miłośnikom poezji i muzyki Bułata Okudźawy wystarczy chyba powiedzieć, iż jest on scenarzystą filmu Władimira Motyla, pt. „ZENIA, ZENIECZKA I KATIUSZA” i to już ściganie ich do kina. W filmie, który może mieć być tylko komedią filmową zdołał Okudźawa i Motyl w cudownie harmonijny sposób połączyć to, co jest cechą twórczości tego poety — pieśniarza. A więc całą prawdę o wojnie, na której zdarza się wszystko. Jest to prawda, w której sasiaduje najgłębszy tragizm, okrucieństwo konieczności zabijania i

konieczności śmierci, z tym co jest czasami wielką przygodą, czasami czy sta komedią, często również okazją do przeżycia najrozmaitszych ludzkich uczuć o niejednakowym ciężarze gatunkowym i niejednolitej skali wartości.

Bohater filmu Zenia jest nam dobrze znany z twórczości Okudźawy. W jego balladach spotykamy chłopców, którym wojna wypięła czas dorastania, ale przez to pozostawiła nie zatarte ślady w ich psychice. Okudźawa i Motyl narzucili nam w sposób absolutnie zamknięty sprawę widzenia i rozumienia swego bohatera. Na Zenię patrzymy tak, jak patrzy ci, co pozwolił go do ekranowego życia. Lubimy go, boimy się o niego i czasami się za niego wstydzimy. Jest nam bliższy, bo jest prawdziwy, przeżywa na

wojnie, wszystko co przeżyć można. By móc to pokazać w sposób pełny, trzeba było znaleźć dla filmu i jego dramaturgii klucz doskonały. „Zenja, Zenieczka i Katiuszka” jest w końcu dziełem wojennych przygód. Wojnę traktuje się w tym filmie jednak bardzo poważnie, choć w sposób zupełnie z pozoru nie do przyjęcia. Znajdujemy w tym filmie bowiem sceny, które są nieomal burleską, a nawet groteską, są w nim sceny w stylu komedii liry-cznej, a wreszcie obrazy wyjęte z nalczystego dramatu.

Tragizm, komizm i liryzm współgrają w tym filmie bezbłędnie. Zgodnie z życzeniami twórców, przewracamy niejako kartki tego dzieła, szukając rozdziałów, które swymi tytułami uprzedzają nas o tym co nastąpi. Na zabawnych karkach czytamy m. in.

tytuły: „O tym, że niekiedy najszer-sza prawda może się wydać kłamstwem” czy „O tym, że na wojnie zdarza się nawet to, co się nie zdarza”. Opowieści, które za tymi tytułami rozdziałów się kryją często przestają ich sugerować. Autorzy filmu często nas zaskakują. Takiego filmu o wojnie jeszcze nie było, choć próby istniały na pewno. I mimo, że nie ma w tym filmie dramatycznych gestów a wiele jest uśmiechu, to w tym uśmiechu kryje się więcej tragizmu i smutku niżeli w dziesiątkach filmowych dramatów wojennych. Zenia bez Zenieczki i Katuszy powróci do domu dorosły, zapłaciwszy za to cenę bardzo wysoki. My wydaliśmy z filmu pełni refleksji, których nie oczekiwaliśmy patrząc na pierwsze jego sceny.



Drugim, dziś proponowanym filmem jest utwór Aleksieja Saitykowa pt. „KOBIECY ZOSTAJĄ SAME” (w oryginalnie „BABIE CARSTWO”). Jest to film w moim przekonaniu godny uwagi. O jego wartości przesądza nawet nie sam temat, znany już z innych filmów opowieści. Zgodnie bowiem z sugestią tytułu jest poświęcony bohaterstwu kobiet radzieckich w czasach, gdy wojna zabrawszy im mężów na front złożyła na ich barki całą odpowiedzialność, za życie, które toczyło się w wolnych jeszcze lub zaletach już przez wroga wsiach i miastach Kraju

Rad. Wartość filmu przesądza sposób widzenia problemu i to zarówno w wojennej części tej „babskiej epopei”, jak i wówczas, gdy z największą radością witaly w swych zagrodach powracających do domu mężów.

Wojenna część filmu utrzymana w naturalistycznej stylistyce, oddaje całą prawdę o dziejach tych, które nie walczyły na froncie, przeżyły cały koszmar wojny i niejednokrotnie swą postawą zasługiwały na tytuł bohaterów wojny narodowej. Przeglądając się ich dziejom, jesteśmy w stanie zrozumieć

odruchy bezlitosnej zemsty na tych, którzy ten los im zgotowali, możemy zrozumieć ich radość, gdy najbliżsi wracają, i ból, gdy przychodzi wiadomość, że nigdy ich się już nie ujrzy. I choć druga, inna już w tonacji i stylistyce, część filmu pokazuje już ten rozdział z życia mieszkanków wioski, który rozpoczyna nowy etap ich bytowania, mamy stale w pamięci chwile, które dziś rzutują na konflikty osobiste i wszystkie problemy normalnego życia i gospodarowania. Nie znajdziemy w tym filmie ani jednej nieomal postaci, którą potraktowano by

w sposób bagatelny. Mieszkanki małego kołchozu są zbiorowiskiem ludzi, którym poświęca się wiele głębokiej uwagi. Wyrazista kreska rysowana po starcie przemawiają odwarą prawdą psychologiczną. Dotyczy to zarówno postaci niemal heroicznego, jak i test Nadzieja czy nawet Anna, ale dotyczy to również sylwetki kolaboranta i tych, którzy jako bohaterowie powróci-li do domu, a którym ich żony (po zornie tak słabe) pomogły również po-wrócić do normalnego życia.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



ście dzieł wielkiego kompozytora, powstało przy poszczególnych, że jest to oryginalny nieznanego do-
kład utworu. Na podsta-
wie jednak dokładnych
badań i poszukiwań u-
stalono, że rękopis zna-
lezionej w Gnieźnie jest
kopią symfonii niemiec-
kiego kompozytora z
XVIII wieku Christiana
Graafa. Kopista przepl-
sujący nuty popełnił
wiele błędów. Czy świad-
omie? Utwory Haydna
były w Polsce w XVIII
wieku bardzo po-
пулярne. Graaf był zaś
kompozytorem niezna-
nym. Być więc może,
że kopista przewidując
trudności w sprzedaży
nut z utworem Graafa,
celowo opatrzył stronę
tytułową nazwiskiem
wielkiego austriackiego
kompozytora.

SZEKSPIR I FILM

Zdumiewające, że jed-
nym z najbardziej fil-
mowych pisarzy okazał
się... Szekspir. Począwszy
od 1937 r. aż 17 razy
adaptowano dla filmu
szekspirowskie dramaty.
niektóre kilkakrotnie.
I tak np. w ciągu ostat-
nich dwudziestu lat tra-
gedia kochanków z We-
rony filmowana była aż
czterokrotnie. Ten czwar-
ty raz sfilmował „Romeo
i Julia” włoski reżyser
Franco Zeffirelli. Posu-
kując największej wi-
erności w przekazaniu

treści i nastroju szekspi-
rowskiego dramatu, Zef-
firelli nie dokonał żad-
nych zmian w tekście
młodego dialogu, za-
chował to i stroje epo-
ki, a co według jego
zdania najważniejsze, ak-
torzy grający role tra-
gicznych kochanków li-
czą sobie tyleż lat na-
le określił ich sam
Szekspir.

Długo trwały poszuki-
wania reżysera, a następ-
nie wybór odpowied-
nych aktorów. Spośród
trzystu chłopców i ty-
łuż dziewcząt Zeffirelli
wybrał Oliwię Hussey,
uczeniczkę szkoły aktor-
skiej i Leonarda Whitinga
ga muzyka, członka jed-
nego z londyńskich ze-
spółów orkiestrowych.
Czy ci młodzi czytali
tragedie Szekspira, nim
zaangażowano ich do
filmu? Oliwia stwierdzi-
ła, że owszem słyszała
coś o Szekspirze w szko-
le, ale według jej zda-
nia i jej rówieśniczek
jest to okropne nudziar-
stwo. Leonard zaś jest
przekonany, że gdyby
kochankowie z Werony
poczekali trochę, wszy-
stko w ich życiu ułoży-
łoby się jak najszcze-
śliwiej. Ci młodzi akto-
rzy, mimo historycznych
dekoracji i strojów, mi-
mo starannej reżyserii
sa nastolatkami naszych
czasów, co widz filmo-
wy wyraźnie odczuwa.
Czy między młodymi od-
grywanymi losy tra-
gicznych kochanków wy-
wiązało się także jakieś
żywsze uczucie? Podob-
no tak, ale nie na dłu-
go. W miarę przeciąga-
nia się prac filmowych
Julia-Oliwia przestała
się kochać w Romeo-Le-
onardzie i zakochała się
w pewnym francuskim
pianistce jazzowym, za
którego ma wyjść za
mał. Leonard ma być
świadkiem na ich ślu-
bie.



Leonard Whiting i Oliwia Hussey w roli
Romeo i Julii

ZMARŁ JEAN PAULHAN

W wieku lat 84 zmarł
wybitny pisarz, świetny
stylista, teoretyk i kry-
tyk literacki Jean Paul-
han (pisał także pod
pseudonimami Maast i
Jean Guerin).

Urodził się w Nîmes.
Jego ojciec był filozofem.
Po ukończeniu stu-
diów Jean Paulhan sta-
nuje jako pedagog naj-

smo aż do momentu je-
go zamknięcia w 1940 r.
Podczas okupacji jest
czynnym członkiem Ru-
chu Oporu. M. in. za-
kłada wraz z Jacques'em
Decour (rozstrzelanym
następnie przez hitle-
rowców) czasopismo, u-
kazujące się do dziś pod
redakcją Aragona, „Les
Lettres françaises”. W
warunkach okupacyj-
nych pismo to wychod-
ziło konspiracyjnie. Po
wojnie, kiedy w roku
1953 pismo „La Nouve-



Jean Paulhan

pierw w Tananariwie
(stolica Republiki Mal-
gaskiej) na Madagaska-
rze, a następnie w szko-
le Języków Orientalnych
w Paryżu. W 1913 r.
porzucił jednak funkcję
wykładowcy poświęcając
się wyłącznie literatu-
rze. W 1920 r. jest se-
kretarzem redakcji po-
ważnego czasopisma li-
terackiego „La Nouvelle
Revue Française”, pro-
wadzonego przez Jacque-
sa Rivière'a. Po śmierci
tego ostatniego, Jean
Paulhan przejmie w
1925 r. kierownictwo re-
dakcji i prowadzi pi-

smo „Revue” zostaje wzno-
wione. Jean Paulhan
staje znowu na czele je-
go redakcji.

Jean Paulhan wywarł
znaczący wpływ na współ-
czesną literaturę fran-
cuską. Pozostawił po
sobie szereg opowiadań
i cennych studiów kry-
tycznych. Zajmował się
też teorią malarstwa. W
1963 r. został wybrany
do Akademii Francuskiej.
Był wielokrotnie nagra-
dzany i odznaczany za
zasługi literackie, oby-
watelskie i działalność
w Ruchu Oporu.

BŁĄD KOPISTY

9-ty numer radziec-
kiego dzwilkowego mie-
sięcznika „Krugozor”
przynosi płytę z nagra-
niem znalezionej w Pol-
sce symfonii, która po-
czątkowo traktowana ja-
ko dzieło Józefa Haydna.

W Gnieźnie, pradow-
nej stolicy Polski — czy
tam w części tekstowej

pisma — znaleziono ręk-
opis symfonii, przy-
czym na stronie tytułu
wej widniało: Joseph
Haydn.

Początkowo, nuty te
brano za kopie utworu
Haydna, jedna z wielu
tegoż kompozytora ja-
kie zachowały się w
Polsce z wieku XVIII.
Ponieważ jednak histo-
rycy muzyki nie znale-
li owej symfonii w spi-

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Redaktor Adam Lewaszkiewicz z Małego Wydania „Głosu Robotniczego” rozkreślił ciekawą akcję poszukiwań po starych szufladach, poszukiwań skar-
bów przeszłości. Nie liczył
oczywiście, że ktoś przy-
niesie klejnoty z carskiej
korony, ale i to co przyno-
szą ludzie ma swoją nie-
zaprzeczalną wartość. Ot
na przykład oglądałem w
tym łódzkim silva rerum
komplet pisma „Wolna
Myśl — Wolne Zarty” wy-
danego przez Helenę Ko-
rzycką w latach dwu-
dziestych. Ludzie kochani!
Toż to dopiero była szma-
ra! Ale są tam okazy tak
żę z innego bieguna. Na
przykład paryskie wyda-
nie „Pana Tadeusza”, albo
banknoty z okresu dewa-
luacji opiewające na su-
mę... miliarda marek. „Za
pięć miliardów można by-
ło kupić pudełko zapalek”
— skomentowała to kobie-
ta, która banknoty przy-
niosła. Myślę, że te uroce
szpargaty, książki, pienia-
dze i stare przedmioty ko-
niecznie trzeba ludziom
pokazać. Myślę, że Klub
Dziennikarzy udostępni
swoje locum na taką ory-
ginalną ekspozycję. Warto
przypomnieć tamte lata.
Starszym dla pamięci —
młodym dla nauki.

WTÓREK

To bardzo dobrze, że
obok oficjalnych uroczy-

stości 25-lecia Ludowego
Wojska Polskiego odbywa-
ją się inne, bardziej kame-
ralne imprezy poświęcone
różnym aspektom dzia-
łania i oddziaływania wo-
jskowej problematyki. Wła-
nie taka impreza odbywa-
ła się w Łodzi, a była to
sesja bardzo tematycznie
pojemna. Marian Piechal
mówił o wojsku w litera-
turze, o odrębnych ce-
chach tematyki wojskowej
w literaturze polskiej, o
walorach patriotycznych i
wojennych. Dr Henryk Anders
poświęcił swe wystąpienie
tematowi „wojsko w szt-
kach plastycznych”. Re-
ferentów zresztą było wie-
lu — zagadnień poruszano
sporo. Ale odnotowując
sesję trudno nie zasygna-
lizować innej „imprezy to-
warzyszkiej” — rocznicy
LWP. Nie jest to impreza
kameralna — weźmie w
niej udział 7 milionów
Polaków. Chodzi o znacz-
nie nakładzie ładną serię
reprodukcji malarstwa o
tematyce wojskowej. Na
jednym z nich reproduk-
cja obrazu Konstantego
Mackiewicza. Zawsze gwa-
żałem, że pan Konstanty
jest klasykiem — teraz już
jestem tego pewien. No,
bo jeśli na znaczkach...

ŚRODA

Parę miesięcy temu ogło-
szono konkurs na piosen-
kę o Ziemi Łódzkiej. Po-
wstało kilka dobrych

utworów, teksty napisali
znani poeci (Chróścielew-
ski, Huszcza, Wawrzkie-
wicz...), słowem — nie
tylko śpiewać. Ale bogact-
wo — jak mówi lud pol-
ski. Monetę nagrodzoną
wypłacono, urządzono na-
wet tzw. lampkę wina, da-
no komunikat do prasy. I
czuść! O tym, żeby pio-
senki rozprowadzać wśród
młodzieży, wśród zespołów
amatorskich (taki był bo-
wiem adresat konkurso-
wych utworów) — jakoś
nikt nie pomyślał. Prze-
dziwna sztuka dla sztuki.
Urządza się konkursy na
powieść a potem powieści
tych się nie drukuje, urzą-
dza się konkursy na pio-
senkę a potem piosenek
tych nie rozgrywa się do
powszechnienia. Jak to
śpiewa Niemcewicz? „Dzi-
wny jest ten świat”. Ale
konkurs był? Był. A auto-
rzy mogą sobie sami za-
śpiewać — „po co nam to
było?”

CZWARTEK

„Te filmowce” — wołał
jakiś student Politechniki
na swego brodatego kole-
gę. Prawda, że brody na
Politechnice trafiają się
rzadko, ale inżynier z ka-
mera nie będzie nieba-
wem rzadkością. Cudów
nie ma — film staje się
instrumentem propagandy
nowości technicznych, po-
mocnikiem w pracy ba-
dawczej, nauczycielem. A
zatem potrzeba specjali-
stów, którzy nie tylko wie-
dzą co to kadr i sekwen-
cja, ale także znają się na
określonych dziedzinach
techniki. Dlatego NOT
otwiera coś w rodzaju
szkoły filmowej dla in-
żynierów. Zajmą się oni pro-
dukcją filmów technicz-
nych, naukowych. Wszy-
stko to będzie jak w praw-
dziwej „filmówce” — za-
jęcia w PWSTiF, technika
zdjęcia i montaż, a na za-
kończenie filmu dyplomo-

wy. Bardzo dobry pomysł.
A tak na marginesie — po
ostatniej reformie tytułów
naukowych mamy już ma-
gistrów-plastyków i ma-
gistrów-aktorów — mieć bę-
dziemy inżynierów-filmow-
ców.

PIĄTEK

Dziś właśnie podsumowa-
no akcję obozów nauko-
wych w których brało
udział ponad 300 studen-
tów Łódzi. Impreza nie
była tania — kosztowała
pół miliona zł, ale też ko-
rzyści tej akcji, choć nie
wymierne w złotych, są o
wiele cenniejsze. Ze-
brano wiele ciekawych ma-
teriałów na temat polsko-
ści Śląska, postawy patrio-
tycznej młodzieży wię-
skiej, ruchu młodzieżowe-
go na Mazurach przed woj-
ną, zgromadzone wiele
ekspozycji dla Muzeum
Przyrodniczego w Lesku...
Poza tym medycy leczyli,
elektrycy naprawiali „elek-
tryki” itp. A przy tym
wszystkim studenci mieli
jeszcze czas na pracę spo-
łeczną wyrażającą się w
sektach roboczo-godzin. Jak
zapewnił przewodniczący
Komisji Nauki ROZSP Sta-
niław Rudolf wyniki stu-
denckich badań i penetra-
cji ujęte zostaną w spe-
cjalnej księdze. Bardzo
dobrze, bo ten kawał do-
brej roboty wart jest
utrwalenia.

SOBOTA

Ze ścian patrzyły na
mnie liście olśniane, kwia-
ty kaktusa, dzwiny, kwi-
atowca i nasturje a na-
wet kwitnące ogórki i ce-
bula. Monotematyczna jest
wystawa obrazów Klary
Cepalin-Jaskowicz w Tea-
trze Nowym. Monotematy-
czna, ale przebogata. Ta
małenka ekspozycja czar-
uje kolorami natury — bar-
wami lata i jesieni. Ma-
larka wydobyla z kwia-

tów, drzew i warzyw na-
stroje i kolory, których
obecności tam nikt z nas
nie podejrzewał. „Bukie-
ty” wiejskie jak wiadomo
wziane były wzwyż i
„stromo” — pisał Tuwim w
„Kwiatkach polskich”. Jest
coś z nastroju tych bukie-
tów wiejskich w kameral-
nej ekspozycji łódzkiej ma-
larki.

NIEDZIELA

Kupiłem za 10 zł ksią-
żeczkę z serii „Rzyko”.
Pierwszy od lat polski ko-
miks opowiadający o pra-
cy organów Milicji Obywa-
elskiej. Komiks w swoim
założeniu przyjmuje pro-
stotę — nie jest to więc
dzieło, bo to wcale nie po-
winno być dzieło literac-
kie. Ale sympatyczna ta
książeczka i dobrze że się
wreszcie na podobną se-
rię zdecydowano. Nie to,
że zatamuje ręce jedna
czy druga ciotka, że już
spotyka się po gazetach
wydźwięk moralistek od
świętej Zyty. Potrzebna
jest właśnie młodzieży lek-
ka lektura mówiąca nie o
„świętych” czy „baro-
nach”, ale o ludziach w
stalach mundurach, któ-
rzy chronią spokój na-
szych domów. Przeczyta-
łem pierwszą książeczkę
„Rzyko” i przeczytałem
umoraliżającą notkę w ga-
zecie na temat „strzeż
się „Rzyko”. Autorzy ko-
miku rozumieją, gdzie
tkwi sedno komiksowego
„genre” — autorka notki
nie rozumie niczego. Ani
praw jakie rządzią tym
gatunkiem, ani treści jakie
ta kolorowa książeczka
niesie. Pisze natomiast, że
lektura „Rzyko” nie wy-
maga wysiłku umysłowe-
go. Jak widać nawet lek-
tura „Rzyko” wymaga te-
go wysiłku.

Jerzy Widok

Bez strachu

RZECZY ZAGUBIONE

Zgubiłem okulary i
błądziłem przez pół
dnia po innej, dotych-
czas niewidzianej Łodzi
— Łodzi, której domy,
pojazdy i przechodnie
przybrały kształty / bar-
wych plam o mało pre-
cyzyjnych konturach.
Ta nagle odkryta Łódź
złożona z szeregu im-
presjonistycznych obra-
zów wydała mi się tak
zajmująca, że niekiedy
zdejmuje okulary na uli-
cy aby przejść w inny
estetyczny i poznawczy
wymiar miasta. Powie-
dzieć, że to drugie
miasto jest barwniejsze
i mniej określone, ma
się do miasta widziane-
go wzrokiem skorygo-
wanym przez okulary,
jak poetka baśń do
realistycznej opowieści.
Gdyby nie drobna ulom-
ność wzroku i roztar-
nienie żyłbym tylko w
jednej prawidłowo wi-
dzianej rzeczywistości
Łodzi. Często gubię
przedmioty, wspomnienia
przeżyć, światki zna-
nych kiedyś ludzi, prze-
czytane książki, wyslu-
chana muzykę. Niekiedy
staram się odnaleźć te
rzeczy, wyobrażenia i
sprawy — często zosta-
wiam zagubione w kra-
inie zaczynającej się
gdzieś od granicy mojej
świadomości. Odnaj-
dę kiedyś wszystko co zgubi-
łem w jednej chwili
lub w paru godzinach
— świadomość tej możli-
wości, nadzieja tej moż-
liwości jest niepokojąca
i miła. Gdzieś bytuja
we wszechświecie
zapląknięta przeczyta-
na książka, największy
koncert organowy i ktoś
najmilszy, najbardziej
kochany, ktoś kogo już
dawno zapomniałem.
Wierzę moją małą, pry-
watną wiarą, że wszy-
stko to przeznaczone jest
dla mnie i że owa kra-
ina zagubionych rzeczy
daży do mnie jak ja
do niej. Spieszę więc
do mnie poprzez niezły
kalne przestrzenie, po-
przez niepamięć różowe
okulary i zielone okula-
ry słoneczne i pudełko
słownych żołnierzy (nie
ma już ołowianych żoł-
nierzy), czyjeś twarze i
ręce i domy i dźwięk
organów i światła i me-
talowy anioł z długą
trąbą w rękę i konie
z wszystkich oglądanych
cyrków. Ogromny to
kraj bo bardzo już wie-
le zgubiłem — tym bo-
gatsza będzie chwila od-
nalezienia — są tam tak-
że rzeczy oddane w czy-
jeś ręce, gdzieś w kie-
szeni (zapomniałem w
której marynarce) jest
kwit — wystarczy oka-
zać i wszystko będzie
można odzyskać. Chwi-
lowo jednak utraciła wzo-
gaca, umożliwiła widze-
nie i przeżywanie im-
lora'ego świata — im-
więcej gubię tym więcej
posiadam, a przecież i
to zgubione odzyskam.
Nie trzeba nawet konie-
cznie znaleźć i okazać
kwit — znam inny spo-
sób pełnego i całkowitego
odnalezienia — wy-
starczy wysłuchać Mszy
h-moll Jana Sebastiana
Bacha.

Bernard Sztajnert

ZOCHA, bierz krowę!

Aby dotrzeć do sedna sprawy, powinienem przerzucić jakiś stosik akt. Na to trzeba mieć zezwolenie. W niższym urzędzie powiedziano mi, że załatwie to wyżej. Pojechałem. Paniąka z za biurka nierównie gadała, że szef wróci niebawem. Po dwugodzinnym ślepieniu pod drzwiami dowiedziałem się, że szef poszedł wziąć udział w ważnej imprezie, a jutro to znów jedzie gdzieś tam w jakiejś tam ważnej misji. Nie chcąc tracić drugiego dnia ruszyłem na ślepo w plener. Albo zgarnę materiał, albo karetkę odwiezie mnie do domu. Obyło się. Miejsca akcji nie określić dokładnie ani nie użyje nazwisk bohaterów, gdyż w takich sprawach nie godzi się. Są pewne zasady. Powiem tylko, że przemierzając w te i w te wioski jeszcze słoma i drewno, gdzie jednak wśród zieleni sadów biała się betonowe słupy elektryfikacyjne. To nie nowego w dzisiejszym krajobrazie, wiem, ale i tak tam breweryjne historyjki się rozgrywały; tam gdzie już z prądem elektrycznym kultura dociera przecież. Rzecz miała się w jednym z powiatów na południowych kresach naszego województwa.

* * *

Zofia i Jan Rożkowie po ślubie zamieszkałi u ojców tego ostatniego. Jan był jedynakiem na czterech hektarach, a ponadto pracował w powiatowym miasteczku jako elektryk, przez co teściowie chętnie ściągali synową, aby młodymi reklamą elagnęła zapuszczona nieco gospodarkę.

Może by nie doszło do rozwodu, gdyby nie fatum, które raz w progi nowożeńców z od zarania małżeńskiego stadła. Otóż w tydzień po ślubie młodzi małżonkowie sprawili sobie meble. Wyładowali je w podwórzu, a stara Rożkowa ta aż emokowała z ukontentowaniem nad pięknym, wysokim tremem. Napotoczyło się dwóch kumotów do obłania gratów: obławanie szło w najlepsze, kiedy w podwórzu rozległ się tetent, za czym trząsk i łoskot! Stało się...

Z pola urwał się Rożkowie buhał, wrocił na podwórzu i uirzawsz w rogu sobowótora, rymał them, że z trema brzytny srebrne odrzyski. Stara Rożkowa w

lament, wtóruje jej młoda; chłopcy klną i byka podchodzą z ostrożnością.

Zocha z żalu pociągnęła do mamy na naradę. Stara Klekówna nuż ją podjudzała: — Niech kupiła. Zocha, nowe lustro przecież to ich byk je rozwalili! A ja dokładała pieniądze, cała jałoszka poszła na te graty! I zaczęło się, i rozchłali się srodze, sąsiedzi wszystko potwierdzają, i już nie było dobrze, a wszystko przez te meble...

* * *

Potem teściowie jeli gniebić synową, ale to już z dużo poważniejszej przyczyny — wnuka nie mogli się doczekać. Podbechtywali ich sąsiedzi, że co to niby za kobieta; że już przedtem musiała dobrze machać kłeczką, skoro jej się nie zbiera na rodzenie. Rożkowie z pretensjami do Kleków — wojna domowa na całym froncie! Przyszło do tego, że chcieli ją przemocą zabrać do lekarza. Ale dziewczyna była zdrowa i zdolna do rodzenia.

— Widzi pan — opowiada — nie chciałam na razie dzieci. Myślałam, że się dorobimy, to może wtedy... Pewno, ojciec z matką kleli na mnie, teściowie znowu podpuszczali Janka. Przez to nierz nie spałam długo w nocy, czekając kiedy uśnie, a to zwłaszcza wtedy, gdy był pijany, bo wtenczas naprzykrzał się najbardziej. Wie pan, dzieciak mógł być, niechciał... A zresztą, co tu gadać... Z dzieckiem do cna ugrzęzłbym w gospodarce, z krowami, świnią. Jasio do roboty w mieście; rano wstawaj, budź go, śniadanko daj, jemu wszystko co najlepsze, a mnie to nawet przez te trzy lata nie dali kupić sukienki.

— Ale przecież pani go kochała, wyszła za niego.

— Eee tam, oice mnie wydał. U nas tylko trzy hektary, ale roboty sporo. Kiedy brat poszedł do wojska, skończyłam podstawówkę, chciałam choć za krawcowa się wyczucić. Ojciec nie dał, trza było robić w polu. Na a jak brat przyszedł z wojska, on wziął się za gospodarkę. Tamten jednak na 4 ha, z zawodem, nadawał się na zlecia. A ten traktorzysta to mi się podobał. Robił u teściów podorywki, zaniósłam mu obiad, posiedzieliśmy tro

chę na miedzy i na tym się skończyło.

Pożegnałem Zosie i poszedłem na wieś pogadać z ludźmi, bo wiem, że w takich sprawach trudno wszysko powiedzieć.

Dwa dni potem, że te niesnaski narastały i że utworzyły się dwa wrogie obozy: za Zochą stawali ojcowie i żonaty już brat, za Jankiem zaś Rożkowie. Po tem Rożkowie pojechali do Częstochowy. Mówia mi we wsi, że na intencję przyszedł do wnuka...

W robocie kumotowie dogryzali Jankowi, że mu się musiał liasek zapuścić... W dzień wyplaty zapili mocno i wykrzykiwali, że robi w chałupie „Meksyk”. Od przy stanku autobusowego przewiózł go sąsiad w deskach wraz z motorowerem. Obiadu nie chciał iść, talerzem z zupa rymał w sufit i zapaskudził całą izbę, a że zosna zaczęła — w wymyślać od „ojajanych świni” więc podbił jej garnkiem oko i poronił w podwórzu. Kobięcina uciekała do rodziców w drugiej wsi, odleciała o trzy kilometry, i nie wróciła ani nazajutrz ani następnego dnia.

Rodzice i brat radzili powrót, ba, grozili nawet.

Wstyd nam bedziesz przynosić, co ludzie powiedzą? Tam twoje prawo, rozumiesz! Mało to wiozłaś w ich gospodarce? I pierzyna tam twoja, i część gratów, i krowa Łaciata też! Ale Zośka nie poszła. Za to Janek Rożek nazajutrz nosił spore fioletowe „libo”. Jeden z mieszkanców zwierzył mi się tak „na ucho”, że to szwagier tak mu zasunął wieczorem bez świadków, za siostrę. Niedoszły jeszcze rozwodnik miał ponadto za swoje, jako że musiał wziąć 5 dni urlopu, gdyż nie każdy chłop umie doić krowę. Trzy razy dziennie ludzie we wsi mieli uciechy co nie miara, kiedy młody Rożek wędrował za czterema ogonami do mieszkającej o kilometry ciotki na kolejny udół.

Wreszcie wrócili starzy Rożkowie. Ojciec wziął konie i mówi: — Jedziemy po Zochę! Za cholewy gumiaków wsadzili koziaki i pojechali, ale polami. Dopadli Zośkę i starego Klekę przy zgrabianiu siano. Jan wciągnął żonę na konia, chociaż wierzyła i drapała mu go. Ojciec ruszył jej w sukurs, ale dwoje zarzucił mu stary Rożek. Teściowie stanęli do walki na „biała broń” (czyli na grabie), w której bardzo ucierpiał Kleka. Rożek dosiadł konia i razem z synem i odzyskaną synową pognał przez łaki do domu. Tak dokonano niebawem w dzisiejszej dobie porwania. Tyle, że z onego porwania wnikł proces o odszkodowanie w wysokości 5000 zł, tytułem poniesionych przez Klekę lekkich obrażeń ciała.



Wyrokiem sądu Rożek musiał płacić Wyobraźcie sobie teraz sytuację Zośki w chałupie teściów, w tym gnieździe złości.

* * *

Powiadają ludzie, że dziewczyna, nabuntowana przez ojców mocno zhardziała. Doła aby swa krowę, łachów nie chciała prać; buntowała się i odszczekiwała, przez co w chałupie fruwały garnki i fajerki, a co dnia wrzalo takie piekło, aż ludziami buchły uszy. Kiedy zaś teściowie bardziej jej dopili, uciekała do ciociów. W końcu i oni przekonali się, co tak dalek być nie może. Kazali jej tedy zostać w domu. — Bierz, Zocha, Łaciata i koniec z tymi dziełami!

Alle Rożkowie ani Łaciata, ani arata żadnego, ani też pierzyny nie chcieli dać. „Krowa u nas żarła, w naszej stała oborze, to jest nasza”. Wieczorem w obelścu Rożków rozległ się wrzaski i kłatwy: to Klekowie dochodzili swojej własności. Kleka z synem ciskał krowę za łeb — Rożkowie za ogon; Klekówna zaś

z córka targali pierzyny z wczenną w nią pazurami Rożkówna. Pierzyny udało się zdobyć (bez jednego rogu), ale krowy nie! Ledwie ich sąsiedzi rozdzielili.

Klekowie udali się tedy do sądu, aby dojść swego. Ano, można było własność odzyskać, ale poprzez rozwód. Zwiędzieli się o tym Rożkowie i chcąc aby rozwód wnikł z winy Zośki (mówili o jakimś proficie), spili w mienionego już wyżej traktoryzta, który miał zeznawać, co Zośka z nim, no wiecie... Upatrzył nadto kilku „dobrych” sąsiadów na świadków. Pod ostrzałem ów traktorzysta cośkolwiek się pokłębaliło, że w tepletnie że wyklepał nie to, co trza, i cała macholka wzięła na ław. Sad przysłał racie Klekowi. Wedle prawa w takich okolicznościach małżonkowie dzielą się na połowy, ale specyfika wiejska wymuszała inną rozstrzeżenie. Przy udziale sąsiadów i milicjantów szafa, stół krzesła i krowa Łaciata wróciły do Kleków. Przez ten rozwód młody Rożek musiał ucieknąć motorower (przezwajający kryje koszty) i pieszko

drałował 5 km do przystanku autobusowego.

A epilog jest taki, że Jan Rożek już się ożenił (czyt. został ożeniony) ze starszą o sześć lat dziewczynką, ale za to na osmiu hektarach. Rożkowie — nieście rzucić.

Zośka starzeje się i wciąż siedzi na rodzicielskiej ławce, i, leżąc w sąsiednich wsi, to tylko w Jezioranach wszy stko wygląda tak ładnie. Widzi mi się, że ten rozwód też by nie nastąpił, ale zażyczyła krowa i meble. I jeszcze wam powiem, com zasłyszal od sąsiadów, że tych rozwodów we wsiach jest mało. Ba, drzewie ludzkie ciapali się śmiertelnie kłótniami, kozikami i siekierkami, byle ino opinii nie narazić na szwank. Trzymajcie ziemię i edyny żywiciel, i oicowska wola. Ułomki trawcy pozostała do dziś. Ale już te dawne prawidła pokażą i już nie trzymajcie ziemi, już uciekają do pracy w mieście ewarantule samodzielnosć. „Ziv” przysłał jednak że rozdziewa się, wolna tak, że pod strzechę.

Alle ta sie tam na razie nie rozwodzi. Co mi tam... Gdybym miał ze dwie krowy...



Lewym okiem

MÓW MI DO RĘKI...

Nie na żarty przeraziła mnie przed tygodniem mała notatka z gatunku „michalków”, czyli wiadomości niesprawdzalnych, często wyssanych z dziennikarskiego palca, ale zawsze sensacyjnych. Oto wyczytałem, że jakiś tam uczony doszedł do wniosku, iż mówienie zabiera ludziom za dużo czasu. Ze należy te rzecz radykalnie usprawnić i wymyślić system porozumiewania się znacznie szybszy. Usiadł i wymyślił.

Natoży się rękawiczki z dowcipnym systemem druków, sprężynek i innych mini-kombinacji. Rozmówca też natoży taką rękawiczkę, po czym obie rękawiczki zostaną połączone. Wszystkie jedno jak: przez podanie ręki, kablem, falami radiowymi. W dłoni ludzkiej pracuje kilkanaście mięśni. Można wewnątrz rękawiczki uruchomić wszystkie te mięśnie naraz, kombinacją ich drgań, napięć, zwolnień, ruchów — zastąpi kombinację dźwięków, czyli mowę. Wystarczy, że te ruchy mięśni będą zaledwie pomyślane — już cudowna rękawiczka podchwyci je, uporządkuje, przekaże

drugiej rękawiczkę, a tamta — drugiemu mózgowi. Dziesięć mięśni to więcej niż jedno usta, szybkość przekazywania myśli wzrośnie więc kilkakrotnie.

Wynalazek ma niewątpliwie jedną ogromną zaletę: zmniejsza hałas. Można by w biurze załatwiać interesanta, podczas gdy pięć koleżanek tłoczy się drucikiem i milcząc, cichutko, opowiada sobie o modzie, chorych dzieciach, śmiesznych meżach i o panu Zbyszku. Czasem któraś wybuchła śmiechem i znów cisza i spokój; tylko mięśnie dłoni drgają, ale tego przez rękawiczkę nie widać. Dyskretna, zapewniona, podstuchiwaczom przecina się druk i koniec.

Można się połączyć ręką do telefonu i w obecności całej rodziny wszystkimi mięśniami dłoni oświadczać się namiętnie tej pani z wczasów. Inna rzecz, czy takie przyspieszone oświadczenia, zredukowane do pięciu sekund, byłyby mile przyjęte. Czy cała głębka uczuć, wypowiedziana w mgnieniu oka, jest wciąż jeszcze głębka?

Na ogół ludzie nie nadają się myśleniem za zwyczajną, tradycyjną, słamazarą — jak się okazuje mową. Stąd te wszystkie „ee”, „panie tego”, „że tak powiem” i inne. Przyspieszając mowę, zostawimy myśl daleko w tyle, jak dźwięk za odrzutownicą, lecącym bardzo wysoko. Co wtedy właściwie powiedziecie mięśniami wyszkolonej jak trzeba ręki? Same „panie tego” w tempie tysiąc razy na minutę?

Aż korci człowieka, żeby sobie pojęntazował z okazji takiego pomysłu. Wyobraźcie sobie na przykład prelekcję profesora uniwersytetu, trwającą trzy minuty, a zawierającą całą teorię względności i egzystencjalizm na deser? Wystarczy podłączyć rękę profesora do centrali, a tę — z rękami słuchaczy. Teoria względności przesłaby im przez mózgi jak skurcz — no i co? Albo przemówienia na konferencji. Te oczywiście nie trwałyby krócej, tylko więcej zawierałyby słów, prze-

kazywanych w tempie huraganu. Nareszcie wszyscy uczestnicy każdej narady mogliby zabrać głos i każdy mógłby powiedzieć wszystko od początku do końca. Ma się rozumieć — każdy to samo. Nawyżej wszystkim ręce by ścierpły od słuchania. No i nareszcie pełen walor uzyskaloby znane powiedzenie: mów mi do ręki. Wszyscy mówiliby do ręki. I nawet przy nieletnich można by kawały opowiadać, sto na minutę!

Nie wątpię bowiem, że i śmiech zastąpimy czymś szybszym, żeby nie przerywać ręcznej mowy. Na przykład — kłótniem palca w bucie...

Cóż tedy przeraziło mnie w rzeczonyj notatce? Właśnie to: jedynym skutkiem przyspieszenia mowy byłoby zwiększenie ilości mowy. Więcej gadania w jednostce czasu, ale wcale nie mniej gadania-godzin. Przeróżające. Już przy dzisiejszym tempie ilość słów lejących się nam na głowy ze wszystkich stron staje się nie do zniesienia, a sens w tym wszystkim coraz trudniej dostyszczyć.

Mam nadzieję, że omawiany wynalazek to dowcip redakcyjny (nie mój i naprawdę była taka notatka). Nie szkodzi, udawajmy do końca, że traktujemy rzecz poważnie. Mówienie ruchami mięśni wymagałoby szczegółowego opracowania całego nowego języka i ogromnej, wieloletniej pracy nad należytych wyćwiczeniem dłoni. Prostszym i lepszym byłby wynalazek, którego — aż dziw — dotychczas nie było: metoda nauczania ludzi tej zwykłej, tradycyjnej mowy. Żeby każdy umiał powiedzieć to, co ma do powiedzenia i to nie w czterogodzinny występkany elaboracie, tylko paroma prostymi, jasnymi, pięknymi zdaniami. Spokojnie, powoli, z namysłem. W głowie się kręci, ile byśmy czasu zaoszczędzili!

CWIEK